



TYGODNIK WYBRZEŻA

ROK III

SZCZECIN, 5 GRUDNIA 1948 R.

NR 47 (121)

E. JĘDRKIEWICZ
LAUREATEM GDAŃSKA
Edwin Jędrkiewicz, którego
dramat p.t.: „IGRY” druku-
waliśmy ostatnio na łamach
naszego Tygodnika, otrzy-
mał nagrodę literacką Gdań-
skiej Wojewódzkiej Rady
Sztuki i Kultury Artystycz-
nej, w wysokości 200.000 zł.

ŚWIAT NAUKI O ZJEDNOCZENIU PARTII

W przededniu zjednoczenia polskiego ruchu robotniczego zwróciliśmy się do przedstawicieli świata nauki w Szczecinie z prośbą o wypowiedzenie się w tej tak niewątpliwie doniosłej również i dla polskich naukowców sprawie. Notujemy poniżej wypowiedzi Rektorów: Akademii Handlowej — prof. Leona Babińskiego, Wyższej Szkoły Inżynierskiej — prof. R. Bagińskiego i Akademii Lekarskiej — prof. J. Węgierki:

REKTOR AKADEMII HANDLOWEJ

Zjednoczenie obu partii robotniczych w Polsce w jednolitą organizację polityczną jest oczywiście tak doniosłym faktem w życiu kraju, że żaden myśliciel społeczny i obywatel nie może przejść nad nim do porządku dziennego bez głębszego zastanowienia. Również i świat nauki — nie może się uchylić od odpowiedzi na zapytanie, co myśli o zjednoczeniu i jego ewentualnych skutkach dla rozwoju nauki polskiej.

Istnienie dwóch partii robotniczych o ideologii socjalistycznej zawiera w sobie coś nienaturalnego. Jeżeli obie wywodzą się z nauki marksizmu (leninizmu), powinny dążyć do połączenia, gdyż inaczej idzie na marne wiele wysiłku społecznego. Z punktu widzenia organizacji pracy, i to nie tylko praktycznej, ale własnie naukowej, słuźonowanie partii jest zdobywcą zarówno organizacyjną, jak i ideologiczną.

Dla rozwoju nauki i dróg naukowych w Polsce fakt połączenia partii nie może pozostać bez skutków. Silniejsze złozenie drogi nauki w duchu przebudowy państwa demokracji ludowej na państwo socjalistyczne powinno być skutkiem połączenia, bo przebudując rolę w dziele przebudowy państwa wzięły na siebie partie robotnicze, a po zjednoczeniu będą one lepiej i szybciej realizować swój program. Nauka musi podążać za życiem i rejestrować jego przejawy i przemiany. Wprzejęcie nauki w ramy nowej rzeczywistości, którego konieczność podkreślano na ostatnich zjazdach naukowych, będzie przebiegało szybciej i zdecydowanie po usunięciu dotychczasowego roz-

dwojenia polskiego ruchu robotniczego. Nauka podaży więc ku wehłonięciu doświadczeń ZSRR, zwróci się ku badaniom naukowym pod znakiem marksizmu (leninizmu), tak jak to obserwujemy na przykładzie naszego wschodniego sąsada. Mam przed sobą na przykład zeszyty biuletynu Akademii Nauk ZSRR i widzę z nich, że zarówno w artykułach naukowych jak i w kronice, myśli ekonomicznej i prawniczej rosyjska interesuje się koncepcjami czystego socjalizmu i badaniami najróżniejszych kwestii prawnych i ekonomicznych przeprowadza pod kątem widzenia tej doktryny naukowej.

Znaczenie i rolę jednej partii socjalistycznej bez podziału na grupy czy frakcje, jako najwyższej formy organizacji klasowej proletariatu, podkreślał wyraźnie jeszcze w r. 1921 w wykładach swych w Uniwersytecie im. Swierdłowa Generalissimus Stalin, jak można się przekonać z klasycznej jego książki o zagadnieniach leninizmu (XI wydanie rosyjskie, 1947, str. 71, 73/74).

Z doświadczenia wielkiego państwa socjalistycznego, jakim jest ZSRR, powinniśmy korzystać również w dziedzinie naukowej. Zjednoczenie obu partii robotniczych w Polsce otwiera wysiłek konsolidacji i zesrodkowania wysiłku również dla nauki perspektywę większego i dalszego konsekwentnego rozwoju polskiej myśli naukowej na drodze założeń czystej nauki socjalistycznej.

Prof. LEON BABIŃSKI
Rektor Akademii Handlowej
w Szczecinie

REKTOR SZKOŁY INŻYNIERSKIEJ

Zbliżająca się realizacja Zjednoczenia Partii Robotniczych w Polsce, jest ważnym etapem i przełomowym faktem skonsolidowania się warstw robotniczych. Ustalenie jednolitego programu celów i założeń dotychczasowych Partii PPR i PPS pozwoli nowej Zjednoczonej Partii Robotniczej na szybsze realizowanie zasadniczych założeń tych partii, tj. zasad socjalizmu.

Socjalizm jako ustroj społeczny powstaje na gruzach przeżytych form kapitalizmu, rozwój którego cechowała koncentracja dóbr społecznych w ręku nielicznych jednostek, koncentracja kapitałów a więc środków i narzędzi wytwórczości, co w rezultacie spowodowało ustroj kapitalistyczny do ekonomicznego absurdu.

Upowszechnienie pracy i jej owoców, przez udział w nich wytwarzających t. j. robotników i chłopów, stanowi niewątpliwie jedną z wyższych form społecznej sprawiedliwości. Związany z nim rozwój uprzemysłowienia Polski w każdej dziedzinie wytwórczości, jak również mechanizacja rolnictwa, stwarzają, z jednej strony konieczność zwiększenia środków i war sztatów produkcji przemysłowej, a z drugiej strony wysuwają problem obsługi technicznej warsztatów.

To też w obecnej chwili niedobór w dziedzinie zapotrzebowania sił technicznych na wszystkich jej poziomach jest bardzo duży.

I tak na najwyższym jego szczeblu obecny niedobór inżynierów wynosi ok. 7.500 osób, a dalsze roczne zapotrzebowanie wynoszące będzie 2.000 osób.

wyprodukowanie potrzebnej ilości inżynierów, obsługujących życie gospodarcze, jak również produkcja sił naukowych technicznych na najwyższym poziomie, zadaniem których jest dotrzymanie kroku na drodze postępu technicznego ludzkości oraz rozwiązywanie bardziej skomplikowanych problemów technicznych życia gospodarczego.

Wprowadzona z początkiem roku akademickiego dwustopniowość nauczania w dziedzinie techniki wyraźnie zakreśla cele i zadania inżyniera pierwszego stopnia — inżyniera zawodowego i inżyniera drugiego stopnia — inżyniera magistra.

Podstawową komórką nauczania technicznego jest Szkoła Inżynierska, zaś absolwenci tych szkół, specjalnie zamierzani w pracy badawczej, mają możliwość pogłębienia swej wiedzy technicznej na 2-letnich kursach magisterskich, które zostają zorganizowane przy Politechnikach.

Istniejąca obecnie sieć Wyższych

Szkół Technicznych składająca się z 6 Politechnik, Akademii Górniczej oraz 3 Szkół Inżynierskich (z początkiem bieżącego roku akademickiego wszystkie Politechniki mają równolegle wszystkie Inżynierskie) oraz mające powstać w przyszłości Szkoły Inżynierskie zaspokajają zapotrzebowanie naszego życia gospodarczego w dziedzinie obsługi technicznej. W ten sposób praca inżynierów, robotników i wszystkich mas pracujących niewątpliwie przyczyni się do przebudowy naszego życia zbiorowego.

Reforma szkolnictwa technicznego na tle Zjednoczenia Partii Robotniczych Polski jest wynownym stwierdzeniem, że przebudowa ustroju społecznego na drodze ku socjalizmowi odbywa się we wszystkich szych dziedzinach z największą celowoscia i planowoscia.

Inż. R. BAGIŃSKI
Rektor Szkoły Inżynierskiej
w Szczecinie

REKTOR AKADEMII LEKARSKIEJ

Zjednoczenie ruchu robotniczego niewątpliwie przyspieszy rozwój ustroju socjalistycznego. Jest to fakt o doniosłym znaczeniu, gdyż w ustroju socjalistycznym nauka staje się fundamentem świadomego kształtowania stosunków społecznych, fundamentem planowego kierowania gospodarką narodową oraz celowego rozwoju procesów postępu technicznego. Ustroj socjalistyczny oddaje naukę do dyspozycji narodowi i zabezpiecza jej tak pomyślnie warunki rozwoju, jakich zapewnić nie może żaden ustroj kapitalistyczny. W ustroju socjalistycznym zdobyte naukowe służą wyłącznie interesom narodu, rozwojowi produkcyjnych sił kraju, polepszeniu materialnych i kulturalnych warunków życia wszystkich obywateli. Dzięki upowszechnieniu oświaty wśród najszerszych mas, dzięki wydobyciu wśród ustroju socjalistycznym wszystkich talentów i potężnych sił twórczych utajonych w łonie narodu, nauka osiąga tak wysoki rozwój, jaki nie może być nigdy osiągnięty w ustroju kapitalistycznym.

Ale zjednoczenie partii robotniczych nie tylko przyspiesza marsz do socjalizmu, a tym samym stwarza realne warunki dla rozwoju nauki. Zjednoczenie partii robotniczych jak powiedział tow. Bierut wzmacnia świadomość i energię twórczą mas pracujących w celu utrwalenia, pogłębienia i rozszerzenia dotychczasowych zdobyczy społecznych ludu pracującego.

Utworzenie Zjednoczonej Partii Klasy Robotniczej kładzie też kres trwającemu przeszle pół wieku rozłamowi w szeregach polskiej klasy robotniczej. Jest to zwycięstwem marksizmu-leninizmu nad oportunistycznym, reformistycznym i nacjonalistycznym, tkwiącymi w łonie prawicy pepesowskiej. Analizując uchwały ostatniej sesji Rady Naczelnej PPS przekonyujemy się, że partia ta podziela poglądy PPR, że przesyw cieżenie odchylenia prawicowego przyczyniło się do przejścia PPS na pozycje marksistowskie i że utworowało drogę do zjednoczenia obu partii pod sztandarem marksizmu-leninizmu.

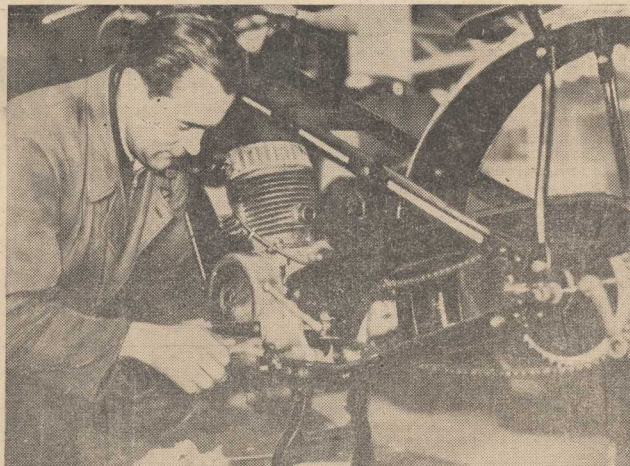
Przekształcenie Polski z kraju kapitalistyczno-obszarnego, w kraj demokracji ludowej, zlikwidowało ognisko niepokojów międzynarodowego i wojny, jakim była Polska przedworsniowa. Połączenie obu partii przyczyni się jeszcze bardziej do utrwalenia pokoju światowego, do rozwoju polskiego przemysłu na torach socjalistycznych oraz do rozkwitu polskiej kultury narodowej.

Jeżeli uwzględnić, że partia jest awan gardą klasy robotniczej, że jest kierowniczką walki klasowej, że pod jej wpływem kształtuje się nie tylko życie społeczne — polityczne, lecz i kulturalne, to łatwo jest zrozumieć jak wielkim zwycięstwem jest zjednoczenie partii robotniczych i jak wielką klęską jest ich rozbieżność.

Przyjęcie przez obie partie marksizmu-leninizmu prowadzi klasę robotniczą do jednolitej ideologicznej, a więc przewyższającej ostatecznie rozłam i likwiduje całkowicie oportunistyczny, nacjonalistyczny, reformistyczny oraz ideologicznie drobniomieszczańsko-burżuazyjny. Metoda dialektycznego myślenia jako służąca się marksizmowi staje się obecnie czynnikiem zasadniczym, stosowanym nie tylko w nauce lecz i w życiu praktycznym.

Związek Młodzieży Polskiej musi też znajdować się pod kierownictwem wpływem Zjednoczonej Partii Robotniczej. Praca organizacyjna, polityczna, społeczna i gospodarcza Związku Młodzieży Polskiej opierać się powinna na ideologii marksizmu-leninizmu, a członkowie tej organizacji muszą zdawać sobie sprawę, że z czasem zastąpią oni swych starszych towarzyszy w wielkiej pracy nad umocnieniem i dalszym rozwojem ustroju sprawiedliwości społecznej. Wychowanie młodzieży w myśl zasad głoszonych przez Zjednoczoną Partię Klasy Robotniczej przyczyni się powinno do utworzenia kadr pełnowartościowych bojowników o wielką sprawę komunizmu.

Prof. Dr. JAKUB WĘGIERKO
Rektor Akademii Lekarskiej
w Szczecinie



Czeski przodownik pracy przy taśmie w zakładach produkujących znane i cenione w całym świecie motocykle „JAWA”.

PRZED ZJEDNOCZENIEM

I.

Klasa robotnicza i masy pracujące Wybrzeża oceniły wielką wagę i znaczenie Kongresu Zjednoczeniowego, likwidującego półwiekowe rozbięcie w polskim ruchu robotniczym i nakreślającego szlaki dalszego marszu Polski ku ustrojowi pełnego rozwoju i dobrobytu, ku socjalizmowi. Wyrazem stosunku klasy robotniczej Wybrzeża do tego wielkiego na miarę historyczną wydarzenia jest niezwykle aktywizująca twórcza mas pracujących pod przewodnictwem Polskiej Partii Robotniczej która przelewała się obecnie szeroką falą poprzez nasze stocznie, hale fabryczne, warsztaty pracy, instytucje, która potężnym echem odbija się wśród naszych marynarzy, robotników portowych, kolejarzy, robotników rolnych, wśród mało- i średniorolnych chłopów gdańskiego województwa.

W samych tylko trzech miastach Wybrzeża na apel huty Zabrzeż-Wschód klasa robotnicza odpowiedziała potężnym zrywem i mobilizacją twórczych sił dla powitania Kongresu nowymi osiągnięciami produkcyjnymi — czego najlepszym przejawem jest włączenie się w nurt przedkongresowego współzawodnictwa 127 zakładów produkcyjnych, obejmujących 69.000 pracowników.

Szereg zakładów przemysłowych Wybrzeża zobowiązało się przekroczyć od 20 do 30 procent plan roczny. Między innymi — Stocznie wodować będą na dzień 13 grudnia drugi rudo-węglowiec, Centrala Węglowa do dnia 8-go grudnia winna osiągnąć przeładunek o 300 tysięcy ton większy niż planowy.

Do dnia Kongresu wyprodukujemy ponad plan: 670 ton cukru, 14.500 ton tuszczów, 160 tysięcy sztuk bielizny, 520 ton wyrobów metalowych, 925 ton konstrukcji i części kolejowych, 2 tysiące beczek, 30 tysięcy krzesła i foteli, 112 napraw kapitalnych i średnich parowozów i wagonów, 52.000 kilogramów wyrobów cukrowniczych itd. itd.

Średnio można przyjąć, że zakłady objęte zobowiązaniami przedkongresowymi wykonują plan roczny w 118%. Da to wkład w gospodarkę narodową wynoszący około 6 milionów robotniko-godzin ponad plan.

Kierownikami i organizatorami tej wielkiej akcji jest przede wszystkim Polska Partia Robotnicza. Z tym, między innymi, idzie P.P.R. na czele klasy Robotniczej Wybrzeża na Kongres polonizowany.

To, między innymi, niosą ludzie Polskiej Partii Robotniczej, jako wino jednoczącemu się ruchowi robotniczemu, Zjednoczonej Partii klasy robotniczej — bojownikowi o ustrój bez krzywdy i wyzysku, bez ciemnoty i zafobania, bez uprzywilejowanych i upośledzonych, bez wojen i nienawiści między narodami, o ustrój sprawiedliwości społecznej, o socjalizm.

II.

Zdajemy sobie sprawę z roli i ciężaru gatunkowego przyszłej zjednoczonej Partii jako kierownika i hegemonia całokształtu życia gospodarczego, państwowego, politycznego, społecznego we wszystkich jego dziedzinach, w naszym województwie.

Stąd nasza troska o czystość szeregów naszej Partii, o jej poziom polityczny i ideologiczny, o jej spójność wewnętrzną, o jej aurytety w klasie robotniczej i w masach pracujących Wybrzeża.

Akcja oczyszczająca Partię z elementów klasowo obcych i przypadkowych, którą obecnie przeprowadzają organizacje partyjne naszego województwa, to akcja podnosząca rolę i znaczenie partii w klasie robotniczej, a łącznie z tym rolę klasy robotniczej i mas pracujących w społeczności demokratycznej Wybrzeża. 1020 byłych członków PPR, którzy dzisiaj znaleźli się poza Partią za obcość klasową, za popełnienie czynów niegodnych miana członka PPR — Partii żołnierzy i budowniczych Polski Socjalistycznej — to wyraz głębokiej wrogości masy partyjnej do tych elementów obcych nam

i przypadkowych, którym udało się wcisnąć w szeregi Partii.

Ale usunięcie tych 1020 byłych członków PPR, ten zaostrożony w kampanii oczyszczającej peperowski, klasowy pazur nieprzejednanego stosunku do wroga klasowego, do wyzyskiwacza, do karierowicza, do obcego elementu dało nam rzecz bodajże najcenniejszą: pogłębiło zaufanie — najwspanialsze zaufanie — ludu pracującego do Partii... pogłębiło ufność bezpartyjnych do PPR, jako do kierownika i organizatora zmagającego ludu pracującego o wyzwolenie człowieka z nędzy i krzywdy.

„Panie Sekretarzu! Wyrzuciliście z Towarzystwa PPR tego lajdaka Wronę Jana, co nas zamęczał — pisze wdowa, wyrobica rolna u bogacza wiejskiego w gminie Puck wieś, powiatu morskiego — za co Panu dziękuję i dalej — „to my wszyscy biedni pojedźmy do Towarzystwa P.P.R. Ja pójde pierwsza“. Ten list nieskładny, spracowana ręką wyrobicy z mozołem napisany, to wielki dokument. Podobnych listów i wypowiedzi w Partii naszej dzisiaj wiele.

PPR to Partia takich, jak wyrobica w gminie Puck-wieś, Partia klasy robotniczej i mas pracujących miasta i wsi, powiązana wszystkimi niemi z masami, które ją zrodziły, wykarmiły i wychowały.

Kampania przedkongresowa, wielka mobilizacja Partii, jej wysiłek propagandy z jednej strony, mobilizacja kla-

sy robotniczej z drugiej, jeszcze bardziej zespoliła Partię z jej macierzą — masami. Nigdy jeszcze nie czuliśmy w naszym województwie tak głęboko zgodnego rytmu myśli, czynu i wysiłku masy partyjnej PPR i PPS oraz srokich rzesz pracujących, porwanych wielkim entuzjazmem twórczym obu partii robotniczych, jak właśnie obecnie.

I to jest wielki nasz dorobek przed Zjednoczeniem. Z dorobkiem tym idziemy na Kongres, kładąc go u podstaw Zjednoczonej Partii klasy robotniczej w naszym Województwie.

III.

Kampania kongresowa, setki zebrani, aktywów, wspólnych kół pozwoliła obu naszym partiom robotniczym w województwie gdańskim wzmocnić pracę nad wychowaniem mas partyjnych, a przez nie nad wychowaniem klasy robotniczej i demokratycznej społeczności Wybrzeża w duchu miłości do Związku Radzieckiego i do WKP (b) — przodownika i nauczyciela wszystkich partii komunistycznych i robotniczych na całym świecie, wodza mas pracujących całego świata. Kampania przedkongresowa wzmogła naszą pracę nad pogłębieniem w świadomości szeregów obu naszych Partii tej zasadniczej prawdy, że Związek Radziecki — to opoka wszystkich sił postępu, to nie tylko sąsiad dla nas, ale klasowy

nasz brat, że nasz stosunek do Związku Radzieckiego, do Wschodniokomunistycznej Partii (bolszewików) musi być i jest stosunkiem partyjnym, braterskim, a nie tylko stosunkiem sojusznika do sojusznika, państwa-sąsiada — do państwa-sąsiada.

Kampania przedkongresowa ułatwiła nam w masach partyjnych PPR i PPS utwierdzenie przekonania, iż WKP (b) posiada ogromne doświadczenie w dziele budowy socjalizmu w mieście i na wsi, doświadczenie wielkiej wojny z faszyzmem, doświadczenie, z którego powinni szeroko korzystać — jak ze skarbnicy doświadczeń — peperowcy, kepowsocy, jutro członkowie jednej Partii Klasy Robotniczej.

Dowodem tego niezaprzeczanym jest głód wiedzy marksistowskiej — również taki, jakiego nie znają organizacje partyjne naszego województwa. Wysoki procent uczestnictwa na 140 kursach szkoleniowych, niezwykle wzrost czytelnictwa prasy partyjnej, płodny wysiłek w pracy ideologicznej związanej najściślej z konkretną walką o przemiany społeczne w Polsce, troska o zgłębienie zasad marksizmu-leninizmu — wszystko to — poważne osiągnięcia. Osiągnięcia, które wnosimy do Zjednoczonej Partii i które bez wątpienia będziemy pogłębiać.

STANISŁAW JANUSZEWSKI
Sekretarz KW PPR
w Gdańsku.

SPRAWA POSTAWY SPOŁECZNEJ PISARZA

(W związku z wieczorem autorskim Tadeusza Borowskiego)

W Szczecinie bawił 4 dni, od 18 do 21 bm., jako gość Zw. Zaw. Dziennikarzy i Zw. Zaw. Artystów-Plastyków, organizatorów stałych, począwszy od 11 b. m., „wieczorów autorskich“ w Klubie 13 Muz i w szczecińskich zakładach pracy — jeden z czołowych pisarzy polskich, Tadeusz Borowski.

Wieczory autorskie Borowskiego w Państwowych Zakładach Konfekcyjnych, w hucie „Szczecin“ oraz w Domu Kultury na Pomorzanych, wymagają oddzielnego, specjalnego omówienia, ponieważ dostarczyły sporo ciekawego i istotnego materiału, dotyczącego sprawy upowszechniania kultury. Jedno na razie należy zanotować: — Borowski, świetny pisarz, okazał się doskonałym gawędziarzem — oświatowcem. Talent cenny i niezmiernie pożyteczny, u pisarzy — rzadki.

W Klubie 13 Muz Borowski przeczytał dwa opowiadania. Jedno — „Chłopiec z biblią“ — było drukowane w nr. 2 „Zeszytów Wrocławskich“, drugie — „Ojczyzna“ — nowe, dotąd nieopublikowane. Wywiązała się dyskusja. Trzeba z miejsca stwierdzić — pierwsza tego rodzaju w Szczecinie. Żywa, namiętna, z pasją. Dyskusja zasadnicza. Mimo, że tematem jej była twórczość Borowskiego, jego postawa pisarska — i to ściśle — w dyskusji tej w rzeczywistości wyłonił się w całej ostrości problem widzenia i rozumienia świata i ludzi, problem postawy społecznej pisarza i... czytelnika.

Borowski był atakowany. (Nie pierwszy zresztą raz, w dyskusjach i na łamach prasy). I bronił. Atak był przygotowany, poparty przygotowanymi cytacjami, wypisanymi z jego opowiadań. Co zarzucano Borowskiemu? Bardzo silnie — erotyzm. Następnie — że opowiadania jego nie są „optymistyczne“ — nihilizm, cynizm. I jeszcze, w ogóle — naturalizm. Poza tym — wyrażono troskę o... dalszą drogę rozwojową pisarza.

Zamiast cytować głosy obrońców Borowskiego na wieczorze, pozwolę sobie oddać głos fachowym krytykom literackim. M. in. dlatego, że należałem do odplerających ataki.

Na uroczystości wręczenia nagrody „Odrodzenia“ w dniu 22 lipca br. Jerzemu Andrzejewskiemu za „Popiół i diament“, Julian Krzyżanowski oświadczył m. in. w swoim przemówieniu: „Przyrządek czysto arytmetyczny, że cyfra 1 oznaczała A. Rudnickiego, a dopiero cyfra 2 — T. Borowskiego... (Rudnicki i Borowski — dwaj kontrkandydaci do nagrody — przyp. mój — St. S.)... Obaj ci pisarze operują taką tematyką, którą i my znamy i która dopiero niedawno przestała być gnębiącym koszmarem. Rudnicki ujmuje ją w doświadczeniach człowieka z ghetta, Borowski w doświadczeniach człowieka z obozu koncentracyjnego... Padło już dzisiaj słowo „rozkład“. (Prof. Krzyżanowski zabrał głos na uroczystości po przemówieniach Tadeusza Brezy, Zofii Nalkowskiej, Juliusza Kleina — przyp. mój St. S.). Wysłuchanie tego słowa może nasuwać przypuszczenie, że obydwoje — pisarzy wypadaloby uznać za pewnego rodzaju siewców rozkładu, ale takie stanowisko byłoby najniebezpieczniejsze, bo ten rozkład chcą oni właśnie w pewien sposób przewyczyć, opanowywać przez

jasne, otwarte mówienie o nim, przez ukazywanie ówczesnego życia, bez żadnych osłonek, co staje się środkiem terapeutycznym, leczącym urazy. Dlatego pisarz ci odgrywa rolę lekarza społeczeństwa i narodu...“ (Podkreśl. moje — St. S.).

Wybitny krytyk literacki, Kazimierz Wyka, w nr. 23 „Odrodzenia“ z czerwca br., recenzując obszernie opowiadania Borowskiego (tom „Pożegnanie z Marią“), m. in. pisze: „Naturalistyczna z pozoru, ocierająca się o granice cynizmu, przedmiłowości spojżenia... W obozowej masie procent ludzi o wysokich kwalifikacjach moralnych i ideologicznych, chociaż nacisk grozi niekiedy że wyzwał w sposób nieoczekiwany, nie był przecie większy, aniżeli w społeczeństwie na wolności. I jakaś przeciętna przetrwania za wszelką cenę nie układała się w pobliżu twardej uniejętej walki o samego siebie. I o tym właśnie, o tym jedynie, opowiadania Borowskiego mówią w sposób otwarty i bezwzględny... Gatunek prozy Borowskiego należy bowiem do najbardziej występujących w naszym piśmiennictwie. Boję się, że ochrzczą go terminem naturalizm, a byłaby to typowa, jak powiada Irzykowski — przeważa, a nie nazwa...“ Wpęć z tym naturalizmem ostrożnie (podkreślenie moje — St. S.)... „Gdziekolwiek ziemia jest snem, tam trzeba dońnić do końca.“ (Wyka cytując z jednego z wierszy Borowskiego). W tym powiedzeniu rzeczownik sen zastępuje słowem prawda — otrzymacie formułę dziesięjszej prozy Borowskiego“.

Z kolei dodam jeszcze głos Wandy Leopoldowej, z zamieszczonej o opowiadaniach Borowskiego recenzji w „Kuznicy“ (nr. 39, z września 1948): „...opowiadania obozowe Borowskiego, to do dna zobjektywizowany obraz słabości ludzkiej wobec systemu... Zasadnicze bowiem, wynikające z tych opowiadań stwierdzenie, to najsilniejsze może w na-

szej literaturze ostrzeżenie przed systemem — systemem zawsze urabiającym człowieka, którego moralność nie jest żadnym „absolutem“. I druga przesłanka — że jedynym miernikiem etyki jest postępowanie człowieka. (Podkreśl. moje, St. S.).

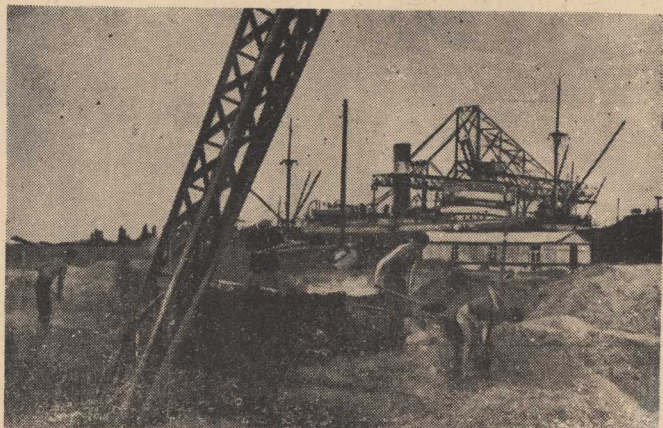
Jakoś, jak z tych wypowiedzi znanych i ogólnie cenionych krytyków literackich wynika, okazuje się, że pomawianie Borowskiego o nihilizm, cynizm, naturalizm — jest albo insynuacją, albo po prostu wynikiem niezrozumienia twórczości autora. A o erotyzmie — w ogóle żaden z poważnych krytyków nawet nie wspominał. To już absurd. Co się zaś tyczy „troski o przyszłość pisarską“ Borowskiego, to Krzyżanowski w wspomnianym wyżej przemówieniu, mówiąc o nim i o Rudnickim, powiada: „Myślę, że obaj ci pisarze dobiegą z pewnością do mety laureackiej...“ i o Borowskim przeważa...“

Poprostu — dlatego tak żywa, zacięta i wieloobsobowa była dyskusja w Klubie 13 Muz, bo — Borowski pisze prozę, obnaża fałsz, zaigania. A ciągle jeszcze u nas w Polsce nie wszyscy chcą i mają odwagę spojrzeć prawdzie w oczy.

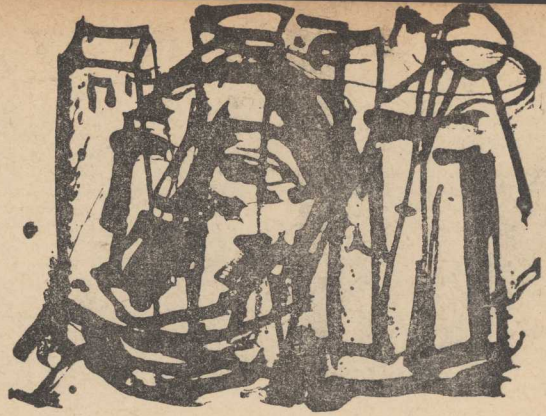
Borowski w swojej twórczości oskarża określony system, pokazuje jego oblicze w całej grozie — system hitlerowski. Faszyzm. Widzieć w nim można tylko pisarza postępowego. Pisarza zdecydowanie i nawiąsroko odważnego.

Na marginesie: — Dyskusję na wieczorze Borowskiego, z tym chyba wszyscy się zgodzą, należy uważać za niezmiernie pożyteczną dla „pogrążonego w błogim śnie kulturalnym“ Szczecina. Można się spodziewać, że następne kolejne wieczory autorskie w Klubie 13 Muz (w ramach stałych „czwartków literackich“) Bratnego, Bartelskiego, St. R. Dobrowolskiego i innych pisarzy wybiją Szczecin z tego snu do reszty.

ST. SZYDŁOWSKI



„Służba Polsce“ przy pracy w porcie szczecińskim.



WIKTOR WOROSZYLSKI

RYS. GUIDO RECK.

RZECZ O JAROSŁAWIE DĄBROWSKIM

I.

Gdy brzask wystrzeli — wieki runą,
zgaśnie historia, ból ustanie.
Czoła schyliwszy nad Komuną
cichą, bezsilną, niby żona
umierająca, — młody wódz jej,
śmiertelnie ranny, tak jak ona,
do końca wolny, tak jak ona, —
co myśli wódz jej, — zanim skona?

Radość nie umknie mężnym sercom.
Klęska — zwycięstwa część odmierzy.
Dopóki walka, póty trwanie
Dopóki walka, znaczy: wróć.
Czy tak jak inni, co przed śmiercią
przeżywa znów, co raz już przeżył?

Gdy brzask wystrzeli — wieki runą,
zgaśnie historia, ból ustanie.
W słońcu utonie zwiód Paryża,
Paryża zaciśniętych ust.

Jest maj. Na barykadach — cisza.
Jest noc. Na barykadach — pusto.

II.

Płomień miast pędzła weź, gdy tło
chcesz namalować epopei.
Wiek dziewiętnasty! Ciężki młot,
wzniesiony nad kowadłem dziejów.
Wiek dziewiętnasty! Ostygł dech
Wielkiej Francuskiej Rewolucji...
Ostygł, — lecz tli się, by powrócić
i zagrznieć znów milionem ech!
Jak kocioł Watta, wrze i kipi
metternichowska Europa. —
Nic, że paryski skonał lipiec,
Nic, że warszawski padł listopad.
Tam, na Zachodzie, nowe tkalnie
rosną. Kolei nowych huk.
I nowa klasa, co podpali
prochem swej krwi niejedną bruk.
Na razie Owen, Saint-Simon,
później Bounarotti, Blanqui.
Z dziarską melodią Marsylianki
powstaje robotniczy Lyon.

Jeszcze silniejsze pieśni, hasła
zerwie ten wiek z upartych warg.
Pilnujmy iskry, by nie zgasła:
w „Reńskiej Gazecie“ doktor Marks,
brodaty tytan, syn mieszczański
wola:

— Proletariuszu, wstań.
Nie, to nie wola doktor Marks —
po Europie widmo kroczy,
Proletariuszu, podnieś oczy,
dobrze, że gniewne są i twarde.

Gniew w oczach noci się i tu,
w szarokamiennym Petersburgu,
na skrzyżowaniu dwóch zaułków,
gdzie silną pięścią wali w stół
Dąbrowski, szlacheckiego pułku
porucznik — i przyjaciół stu.

III.

O, polskie wierzby i topole
i nieba poetycki lament.
Noc którą odstukała kolej, —
i znowu trakt przez bure pole,
brudne landary, wciąż te same.
Wróńcio — szlacheckie krajobrazy,
na koźle zgięty chłop — woźnica.
Cmok — cmok.

— Wio, wiśta, kraju własny,
potocz się, jakby trzasnął z bicia!
Porwij szprychami kalendarza,
niech pomkną lata, wiatry, fronty,
niech będzie rok dziewięćset piąty,
niech będzie rok czterdzieści piąty,
niech wiecznie młody pędem zdarzeń
zakwitnie nowych dni początek.
Cmok — cmok. Na koźle chłop —
woźnica,

wróńcio — szlacheckie krajobrazy.

— Ej, pan oficer, bez obrazy,
jako się Polską nie zachwyca.

A przecież w Polsce nie jest źle:
co krok więzienie, karcza, kościół.
Prawda mój koniu? Wlecz się wlecz —
wieziemy do stolicy gościa.
Droga. Nad Wisłą Nowy Zjazd.

Buduje most inżynier Kierbedź.
Żelazny most. Potężny most.
Warszawa. Zawsze pierwsza z miast!
Krwia splywać, płońać, walczyć,
cierpieć —
czy taki nieodmienny los?...

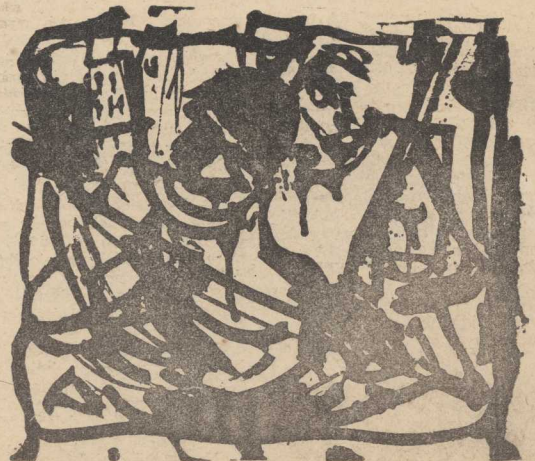
IV.

Gdy brzask wystrzeli — wieki runą,
zgaśnie historia, ból ustanie.

Patrz generale: znowu luną
zawisły fronty nad Warszawą.
O krok przez Wisłę — wolny szaniec,
sztandar i walka, pieśń i prawo.
Harmonia, tocząc się wesoło,
dźwiękiem wydłuża ramię chłopca
z białym orzelkiem wbitym w czoło...
Nie, ta melodia nie jest obca
tobie, paryski komendancie.
Pamiętasz — dawne sny powstańcze...
Czy lata płyną? Chmury płyną...
Patrz, generale: znowu luną
zawisły fronty nad Warszawą.
Chłopiec ma mundur spod Lenino.
On z automatem w dłoni biegnie
na wrogi okop. Białe brzoźki
biegły z nim razem. Nagle granat
zamknął sekunde. Upadł ranny
chłopiec, co służył u Kościuszki.
Dziś jest w dywizji Dąbrowskiego.
Harmonia drży. Melodię zmienia.
Wybucha mocą. Zarem tchnie.
Dla ciebie grają generale,
tę pieśń, co mógł rozplomienia.
W wielkim ułożył ją zapale,
twój blady druh, Eugene Potier.

Dopóki walka, póty trwanie.
Dopóki walka, znaczy: wróć.
Wrócimy wszyscy: martwi, niemi.

Gdy brzask wystrzeli — wieki runą,
zgaśnie historia, ból ustanie.
Nad Wisłą, tak jak nad Komuną
grzmi hymn niezłomnej rewolucji:
Wykłęty powstań ludu ziemi!



GWIAZDY NAD KILWATEREM

(Ciąg dalszy)

Trzeba ostatecznie raz zdać sobie sprawę z tego, że portretowanie marynarzy w skali starych wzorów, w wydaniu najczęściej patologicznym, beztroško wesółkowatym, czy zwierzęco bestialskim, jest w gruncie rzeczy niczym innym, jak spuścizną po czasach zupełnego nieświadomości społecznego, kiedy o morzu wiadano tylko tyle, co dostarczyć mogły pierwsze, powierzchowne wrażenia, obok urojeń, wysnutych jedynie z rozfantazjowanej wyobraźni, na podstawie lektury awanturnych powieści z zamierzłej epoki żagli, wysokich kasztelów, odkryć geograficznych, piratowania, lub handlu niewolnikami.

Nie zamysłam tu bynajmniej marynarzy apoteozować. Ale nawet w cechach ujemnych, czy odstręczających, do których tu jeszcze powrócę, wydaje mi się, że i w tym zakresie nie został ich charakter przez społeczeństwo należycie rozpoznany. Dla pisarzy-marynistów pozostaje stać wciąż jeszcze ważne, jak i aktualne zadanie spopularyzowania właściwych pojęć przez ukazanie czytelnikowi współczesnego środowiska marynarskiego, w nieznanych dotąd, a jakże od starych wzorów ciekawszych świadectwach prawdy, na tle warunków nawigacji XX-go wieku.

Ile z tych świadectw uszło społecznej uwadze, możnaby tu ukazać i na przykładzie krzyżu, tak dobrze zapamiętanego przez wyszkolonych, przygotowanych do służby, a jednak bezrobotnych naszych marynarzy w pierwszych latach tworzenia Marynarki Handlowej. W przeciwieństwie do tego, co się o nich wtedy myślało i mówiło, przymusową swą rolę „na beachu” przeżyli oni w sposób znacznie chlubniejszy, nikomu przy tym, prócz nich samych, nieznanym. Szukali oni wówczas zaprawy do swojej kariery w ciężkiej pracy robotników portowych, choćby przy trymerce i przedunkach, choćby w warsztatach kolejowych, byle tylko nie odejść od morza, byle wytrwać i czekać jutra swego przeznaczania. Jeśli chodzi o wierność morzu, charakteryzował ich idealizm i romantyzm, posunięty do szaleństwa, daleki jednak od rekordów awanturności, przypisywanych przeciętnie każdemu marynarzowi, według imaginacji ludzi postronnych. Iluż to z nich, pomimo ukończenia wyższych studiów, pragnęło wtedy zacząć służbę choćby od chłopca okrętowego, lub prostego marynarza, jeśli już nie na swoim, to bodaj tymczasowo na obcym statku. Co prawda, udało się to zaledwie kilku — jak się wówczas zazdrośnie mówiło — szczęśliwcom. Czy w tym ustosunkowaniu się do morza, możnaby im odmówić szacunku, należnego ludziom, zamłowanym w swej zawodowej pracy?

Owoż jak wyglądała druga strona tych cudownych czasów, bliższa ich tajemnicy, nieznaną, zapomnianą, chociaż tak prawdziwie ludzką.

W sumie, tłumaczy to dziś sentyment do smugi, pozostawionej na falach minionych lat. Jakby to był szyfr, o niedorzecznym pozornie układzie sylab. Z łatwością go jednak odczytać można przy zastosowaniu odpowiedniego klucza.

×

Cóż znaczył przy tym mój skromny udział w owej epopei, pełnej dziwnych wydarzeń?

Wprawdzie wyszedłem ze Szkoły Morskiej dość wcześnie, bo w 1922-im roku, przerwałem w niej studia dla uniwersytetu w Krakowie, nie była to wygodna, ani podyktowana zniechęceniem dezercja. Duchowo czulem się dostatecznie zarażony psychozą owych fantastycznych czasów. Uniostem z nich zresztą skarb, trudno do roztrwonięcia: — poczucie koleżeńskości wspólnoty. W porównaniu z łatwością zapominania na lądzie o dawnym koleżeństwie z lat szkolnych, tutaj, byłoby to — niemożliwością.

Bo też życie morskie stanowi w istocie więź nieporównanie mocniejszą. Wynika to nawet nie tyle z cha-

rakteru wspólnych przeżyć, ile z natury nieuchronnego, z dawną uświęconego prawa, które w każdym dziele ludzkim na morzu, czy w obliczu morza, uznaje konieczność współpracy i zbiorowej solidarności. W normalnych trybach czynności i powszedniego myślenia, mogłoby to jedno z praw naturalnych rozgrzeszyć czyjeś przyzwary i błędy, nigdy jednak nie znalazłoby wytłumaczenia dla wyłączności człowieka w jakiegokolwiek formie samodzielności, sobkostwa, lub egotyizmu. Zwykły sposób, w jaki zrosło się to prawo z pracą i życiem ludzkim na morzu, tłumaczy pierwszorzędne jego znaczenie w kodeksie zasad moralnych, decydując przy tym o typowej dla marynarskiej psychiki wytrwałości w jednolitej rasie myślenia, w swoistych obyczajach, niemal że klanowo ustalonych, jak i w tradycjach, szanowanych niezmiennie od upływu wielu lat, a nawet wieków.

Prawda, że dopiero z czasem, po bliższym poznaniu morskiego życia, uprzytomniłem sobie jego prawdy, obowiązujące w sposób tak zasadniczy. Lecz już wtedy, w czasach młodzieńczych, kiedy ciosałymi runy zakłete, zamiast stosować się do gotowych przykazań obyczajowych, już wówczas, w owych runach, pojętych jako znaki zbiorowej przysięgi, wzięła swój początek pewna idea przewodnia, gruntująca jednolitość ducha i wspólność naszego języka. Była nią wierność Polskiemu Morzu.

Młodość nadała tej idei cechy szczególne: — wydzwięk bohaterski i rycerski. Chociaż było w tym zrazu dużo emfazy, nie zmieniała ona jednak w późniejszym czasie formy swego absolutu. Jako jej wyznawca powracałem odąd przez długie lata nad morze do dawnych moich kolegów, wiedząc, że chociaż zdążyli mnie oni tymczasem przeródzić o głowę w znajomości sztuki żeglarskiej, w dorobku wiedzy i doświadczenia, nigdy jednak do tego stopnia, abymy nie mogli się odnaleźć z powrotem i każdej chwili zrozumieć w rzeczach katechizmu morskiej wiary, a zwłaszcza w owym pierwszym przykazaniu naszej moralnej wspólnoty.

Co prawda, już w krótkim przeciągu czasu trzeba było to przykazanie skonkretyzować jaśniej. Pamiętam, że przyszło nam to dość łatwo, bez filozofowania. Wystarczyło po prostu ocenić własny stosunek do morskiej rzeczywistości.

×

Ow tak realnie pojęty stosunek do Polskiego Morza w krótkim też czasie dopełnił miary, wagi i znaczenia wierności w jednym z pierwszych przykazań naszego morskiego kodeksu moralnego, kształtując jego dotychczasowe, nieomówione pojęcia, w sposób jasny i wyraźny. Świadomość dobrze spełnionych obowiązków związała się w ten sposób niepodzielnie z poczuciem uzasadnionej dumy wobec co dzień na maszt podnoszonej bandery. Miało to w czasach, o których tu mowa, tym większe jeszcze znaczenie, że starsza generacja naszych marynarzy, służąc na statkach państw obcych, nigdy przedtem nie widziała polskiej bandery na morzu, młodsza zaś, co dopiero wstępująca w życie morskie, wzrastala z tą banderą od podstaw wszystkich ówczesnych poczynań. Nie dziwnego, że w takich okolicznościach poczucie morskiej wspólnoty musiało zyskać na szczególnie emocjonalnym zabarwieniu. Z każdym rokiem przybawało zresztą co raz więcej powodów, gruntujących polski patriotyzm morski w przekonaniach, nie tylko odświętnych, ale i w powszednim sojrzeniu. Zwłaszcza w latach 1928—31.

— Patrzcie, tego przedtem nie było! — mówiło się wtedy po każdym powrocie z rejsu do Gdyni. Już widok z reddy pozwalał na nieklamany podziw, wobec postępu prac przy refalacji nabrzeży. Przybawało przy tym coraz więcej dźwigów, magazynów, zbiorników, składnic, torów kolejowych, w miejscach, które jeszcze kilka miesięcy temu świeciły pustką. W tym też czasie sam port rdwński zaczął swą powieść życia, głośną, nie-milknącą do dnia dzisiejszego w rozgwarze przeladunków.

Nawet jako obserwator, przybysz z lądowego zaświata, nie mogłem zdobyć

się na obojętność spojrzenia w to środowisko, z którego przecież z własnej woli, w latach szkolnych, odszedłem. Zawsze odnajdywałem w nim własną młodość, jakby na śladach ledwie wczorajszego dnia. Zresztą każdy tu dzień nowy miał smak i zapach wiosny, wciąż jeszcze trwającej, jak dawniej.

LUZIE MORZA

Dlaczego wracałem wciąż nad morze, w istocie głuche i niewdzięczne, w zasadzie obojętne dla ludzi, niezmiennie przy tym groźne i surowe? Czy nieublagana bezwzględność jego natury mogłoby w całości wynagrodzić fizyczne jego piękno? Czy te wartości równoważyć mogło wychowawcze i moralne znaczenie praw, zapisanych w kodeksie ludzi, tworzących na morzu wspólną rodzinę? Czy zresztą tej samej wspólnotce ludzi morza nie możnaby równocześnie zarzucić dużo cech odstręczających?

Nie sterczą oni przecie w obłokach ideałów. Przeciwnie, uprawiają z przeznaczenia swych losów wszystkie grzechy, na ścieżach moższewskiego dekalogu. W życiu, brak im zawsze czasu na dopełnienie wrodzonej inteligencji. — Kultura, nauka, sztuka — na morzu, są to sprawy nieosiągalnych dążeń. Ustępnie dla wszystkich innych śmiertelników na ziemi, w życiu morskim prawie nie istnieje, zredukowane do półśrodków i namiastek w rodzaju radia, przygodnych książek, lub starych gazet. Zresztą i na to nie mają marynarze czasu, znużeni fizycznie systemem wacht, odbywanych w morzu z jedyną przerwą, przeznaczoną dla snu.

Oddzieleni od społeczności, skazani na przymusową izolację, przywykli do trybów życia i pracy w ściśle odmierzonych ścianach statku, obcując wciąż, lub bez porównania więcej z morzem niż z ładem, nie dziw, że w tych warunkach nie są oni w stanie, jak nigdy nie będą w możności, dorównać szlachetniejszym pragnieniom ducha, chociaż na takich pragnieniach, bynajmniej im nie zbywa. W zasadzie, spalają się one w ich życiu jak nieszczesne ogarki, przyswiecane raczej diabłu, niżli Panu Bogu na chwałę i własnej duszy na świętobliwy użytek.

Tak starannie wydeptane przez nich na wachtach marzenia, w rezultacie, nie spełniają się nigdy podczas postoiu statku w porcie. Na towarowcach, nowoczesne zdobycze techniczne, a przy tym wysokie opłaty portowe, wpływają na znaczne przyspieszenie tempa przeladunków, skracając w ten sposób i chwile pobytu marynarzy na lądzie do minimum. Na pasażerskich statkach żyją oni właściwie bez zaznania odpoczynku dłuższego, niż okamgnienie. Wytręsoni w korbach surowego regulaminu, wciągnięci w dryl dyscypliny hotelarskiej, przypominają

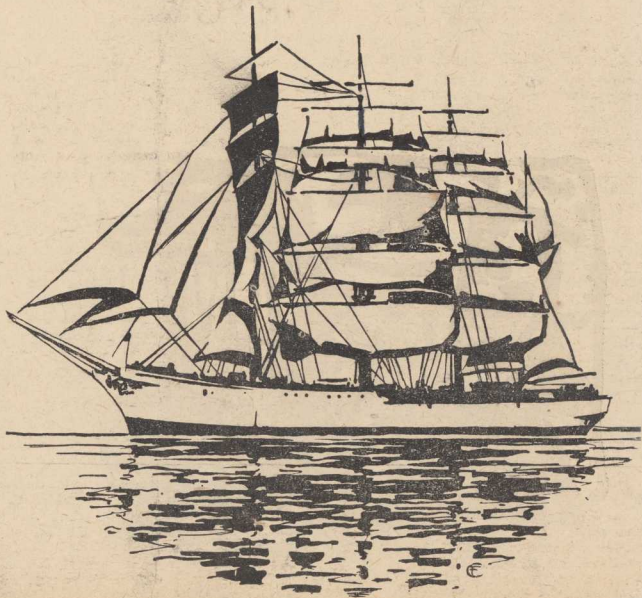
tu raczej śrubki w zmechanizowanym młynie, który, dzień za dniem i noc za nocą, miele w nieustannym kołowrocie przesypano pasażerskiego ziarna, od portu do portu, według z góry ustalonych terminów odjazdu i przyjazdu.

Trudno się dziwić w końcu, że marynarze w takich warunkach zwykli swe wolne chwile na lądzie spędzać na chybił-trafił, bez wyboru, w zależności od łuta szczęścia. Nie wszyscy z nich mają dom własny, rodzinny, w którym, przysiadając trzeba, każdy z nich znajduje wreszcie na drodze swego życia przystań najlepszą. Większość z nich, nie zakotwiczywszy jeszcze, chadza przez długie lata po tropach różnych przygód miłosnych, nie tylko z przyszłowiowym pechem, ale i z obrzydzeniem dla zwykłej łatwizny, z jaką bez dłuższych zachodów przychodzi im ostatecznie kupować iluzję miłości u bylejakiej ulicznej dziewczyny.

O zaspokojeniu innych, najprymitywniejszych potrzeb decyduje po tym knajpa, gdzie okazji do picia dostarczy pierwsze lepsze spotkanie, powodu zaś do kompletnego zalanania się widok serdecznego kumpla, zwłaszcza, jeśli taki napotoczy się po dłuższym czasie rozłąki.

CHARAKTER MARYNARZA

A jednak, co szczególne, mimo całej swej awanturnej brawury, istotnej, czy robionej na pokaz, według której tak obłonie i tak powierzchownie sądzi się zazwyczaj wszystkich marynarzy w czasie ich krótkiego pobytu na lądzie, nie wyzbywają się oni wtedy, jak zresztą nigdy, bez względu na hierarchię stopni — swej dziecinady. Są zawsze bezgranicznie szczerzy i otwarci, rozrutni, skorzy do każdej zabawy, naiwnie przy tym ufni i łatwowierni. W podobny sposób, jak zwykli na morzu przywiązywać dużą wagę do wszelakich mitów, zabobonów i przesądów, radziby również najdrobniejszym pozorom na ziemi nadać znaczenie symboliczne. W praktyce, wynikają stąd nieporozumienia i wieczne żale do ludzi lądowego pokroju. W zasadzie, rzecz ma się przecie: — nie pojmują oni nikogo więcej, prócz siebie i własnych obyczajów. Chociaż sami na ogół są ludźmi głęboko wierzącymi, nie wypełniają kościołów, brzydząc się gorliwością mieszczańskich bigotów. Nienawidzą przesady w celebrowaniu jakiegokolwiek hasał patetycznych, chociaż dla nich umiejają zdobywać się na rzeczy prawdziwego poświęcenia, nawet bohaterstwa. Nie tyczy to wyłącznie patriotyzmu. Nie afiszują również swych zasad humanitarnych, ani czynów filantropijnych, chociaż te spełniają chętnie, częstokroć lepiej i wydatniej, od innych. A któż przy tym na świecie umie ofiarować tyle miłości zwykłym kundlom? Na statkach, korzystają one nawet z praw równości i braterstwa z człowiekiem. (Dalszy ciąg nastąpi)



Polski Szczecin w oczach zagranicy

W bieżącym roku Szczecin zwiedziło około 20 wycieczek zagranicznych — amerykańskich, angielskich, czeskich, holenderskich, francuskich i innych. Zwiedzającymi byli profesory uniwersytetów, ekonomiści, publicyści, dziennikarze.

Różne i dziwne pytania zadawali nam zagraniczni goście.

Tak np. holenderski dziennikarz Liabey po całodziennym wędrowaniu po terenach budowy basenu przeladunków masowych i kolejowej stacji rozrządowej, zmęczony i zablozony siadł na dopiero co obeszny palu żelbetonowym, wyjął notes, długo coś pisał, dawał, mnożył, wreszcie kręcąc głową powiedział:

— Wszystko jest już dla mnie jasne. Nie wiem tylko skąd bierzecie pieniądze. Przecież wy nie jesteście objęci marshallowską akcją pomocy? (Nie stawiam tutaj „cudzyślowu“, ale i on również nie postawił specjalnego akcentu, wymawiając — akcji pomocy).

— Nie, nie jesteśmy — zapewniliśmy go, śmiejąc się.

— No właśnie. A przecież sobie radzicie. Hm, to dziwne.

x

We wrześniu bieżącego roku jeden z publicystów zagranicznych — mister Joung, obserwując masowy wyładunek piasku na terenie stacji rozrządowej, zapytał:

— A skąd wy bierzecie ludzi? I jak to robicie, że wasi robotnicy tak chętnie pracują?

Potem zwrócił się do żony:

— Zobacz, ile ich tu jest i jak żywo ruszają się. A może to są jeńcy wojenni — dodał ciszej.

— Nie — zapewniliśmy go. — My teraz wprawdzie także walcymy, ale o terminowe wykonanie robót. Plan musi być wykonany na czas — i choćby dlatego żadnych odpowiedzial-

nych prac nie możemy powierzać jeńcom.

— Tak, słusznie, bardzo słusznie. Ale Niemcy są przecież tak dobrym robotnikami, że przynajmniej cywiliów Niemców możecie zatrudniać przy budowie.

— Nie, nie możemy.

— ...?

— Poprostu dlatego, że w Szczecinie nie ma Niemców.

W godzinę później, patrząc na kafary, zabijające 16-metrowe pale Larsena i widząc setki metrów już nawpół zabitej stalowej ścianą, mr. Joung przekrzykując loskot bijących kafarów, wrzasnął żonie do ucha:

— Iron curtain! — i roześmiał się serdecznie.

W chwilę później zwrócił się do

mnie:

— To chyba jedyny rodzaj „żelaznej kurtyny“, który znalazłem w Polsce! Dużo wspaniałych rzeczy widziałem w was. Dużo rozmawiałem, dużo słyszałem — dużo dowiedziałem się. Pierwszy raz jestem w Polsce — teraz dopiero rozumiem, dlaczego u nas robi się takie trudności wyjeżdżającym do Polski, którym zawsze wmawia się że w Polsce, w „kraju za żelazną kurtyną“ bardzo nie wiele jest do oglądania i do usłyszenia... Nie wiele dobre go, oczywiście...

— No, cóż. Po powrocie do kraju będzie mógł pan napisać, jak te sprawy w rzeczywistości wyglądają.

— Tak. Napiszę z całą pewnością — chociaż wiem, że pisać będę tylko dla najbliższego grona i dla siebie, bo

NAPRAWDĘ WIELKIE PRACE

wy. Oznacza to, że likwidacja zniszczeń, powstałych na skutek działań wojennych w porcie — jest zagadnieniem daleko cięższym do rozwiązania, niż likwidacja ich gdziekolwiek indziej.

Szczecin jest w takim właśnie stanie chaosu. Potężne, stalowe mosty leżą poskręcane w fantastyczne kształty oibrymie bryły kamienia i cementu zatarasowują główne przejścia, zdruzgotane dźwigi zawałają uszkodzone bulwary, wyciągnięte z wody wielkie żardzewiałe kadłuby okrętów leżą na brzegu. Port szczeciński został jednal uruchomiony i nie tylko uruchomiony port ten szybko się rozbudowuje.

Zadna ilość — nawet najbardziej chętnych do pracy rąk — a jest ich w Polsce bardzo dużo — nie mogłaby tego dokonać, jakkolwiek gołymi rękami usunąć gruz i rozpoczęto odbudowę Warszawy.

Tu w portach praca wymagała świetnej organizacji, nadzwyczajnej pomysłowości i jeszcze czegoś: rzadkiego połączenia chłodnego realizmu z pionierem entuzjazmem. SZCZECIN JEST DOWODEM, ŻE WARTUNKO JEST SPROSTAL.

Poto, aby port ten mógł obsługiwać nie tylko polską, ale również inne południowo - europejskie kraje, mniej szczęśliwie położone w stosunku do morza — musi posiadać linie kolejowe, prowadzące wprost z basenów na wschód i południe — ale te właśnie kierunki odgradzało trzęsawisko nie do przebycia. Dla wybudowania nowego, wielkiego przyczółka kolejowego trzeba było usunąć z drogi za pomocą środków wybuchowych trzęsawisko i zasypać je setkami tysięcy ton piasku kwarcowego.

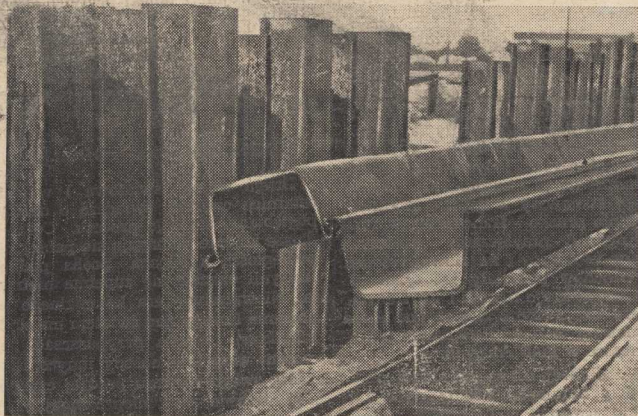
Do tej pory wyladowano w nasypy już 600 tysięcy m³ piasku; wyład okolicy uległ zmianie: ciężkie lokomotywy przebiegają tam — gdzie niedawno człowiek grzązł na błotnistym terenie.

Na końcu linii budują się i odbudowują baseny portowe; tam, gdzie pięć

nie pozytywnego o was — nikt u nas nie wydrukuje...

Jednym z ostatnich gości zagranicznych, który w bieżącym sezonie zwiedził Szczecin, był prezes Instytutu Polskiego w Londynie, F. K. Farr. Nie jest on fachowcem i dlatego wolno mu uważać: nawet najbardziej nowoczesne kafary amerykańskie — za „mocno sfałtgowane“ i „mocno polatane“ (a kafary, zabryzgane białym i cementem zadymlone, — rzeczywicie mizernie wyglądają). Na miasto i port patrzył on oczyma wycieczkowicza i Anglika (nie zapominajmy, że Anglia posiada przeszło 800 portów — w tym kilkanaście portów pierwszej klasy). Wrażenia, które nam przesłał, nie są ani zbyt pochlebne, ani zbyt surowe. Tak pewnie patrzy na nas większość zagranicznych gości i dlatego właśnie wrażenia te warto przeczytać.

Drukujemy je poniżej. I. Sz.



Ściana z pali Larsena — jedyny rodzaj „żelaznej kurtyny“, jaki znaleźli w Polsce dziennikarze zagraniczni. Fot. K. Komorowski

SPÓR PORTÓW

„Sporem portów“ nazwano już przed wybuchem pierwszej wojny rywalizację Hamburga i Brukseli z bardziej naturalnymi portami wytopionymi żegluga reńskiej, Rotterdamem i Antwerpią. Przeprowadzając konsekwentnie oszczędności na dewizach zagranicznych, władze niemieckie niemal całkowicie wyeliminowały przed wojną Rotterdam i Antwerpię w transzycie towarów do i z Niemiec.

Po zakończeniu wojny jakiś czas zanosiło się na „odwet“ porażonych uprzednio portów, których przedstawiciele poczęli zabiegać u angielskich władz okupacyjnych w Niemczech o całkowite kierowanie importu stref zachodnich Niemiec przez Rotterdam i Antwerpię. „Spór portów“ rozgorzał na nowo i rozpoczęła się też zaciekła kampania polemiczna. Przeważily ostatecznie wpływy niemieckie, ale choć projekt holendersko-belgijski nie został zaakceptowany, ani Holendrzy ani Belgowie nie zrezygnowali z przeprowadzenia planu, zmierzającego do uczynienia z Rotterdamu i Antwerpii największych portów tranzytowych zachodnich Niemiec.

A widoki na przeprowadzenie tego planu były coraz mniejsze. Na wiosnę br. władze okupacyjne Bizoni, walczące wciąż z trudnościami dewizowymi, postanowiły kierować przez Bremę i Hamburg wszystkie towary kierowane uprzednio przez porty belgijskie, a zaznaczyć trzeba, że od szeregu już miesięcy słońce bardzo mało Belgów nie na próżno

kredytu dolarowego znalazły się sumy, przeznaczone na pokrycie kosztów posiadania belgijskiego w handlu zagranicznym Bizoni. Do czasu niemożności wydatkowania ich przez Bizonię, rząd belgijski udzielił kredytów belgijskiej żegluzie reńskiej, uczestniczącej w transzycie towarów niemieckich przez Antwerpię.

Na początku czerwca br. przeprowadzone zostają we Frankfurcie nad Menem rozmowy między przedstawicielami rządu belgijskiego i holenderskiego a władzami okupacyjnymi Niemiec zachodnich w sprawie ostatecznego uzgodnienia udziału Rotterdamu i Antwerpii w niemieckim handlu zagranicznym. Zupełnie niespodziewanie jednak propozycja holendersko-belgijska nie została wówczas zaakceptowana, mimo — zdawałoby się — istnienia sprzyjających warunków finansowych (kredyt dolarowy dla Bizoni) do wykorzystania naturalnej drogi i naturalnych portów Bizoni: Rotterdamu i Antwerpii, i rozmowy odroczone. Nie na długo.

Oczywiście, słuszne jest stanowisko prasy niemieckiej w strefie sowieckiej, występującej przeciwko obciążeniu Bizoni kredytem dolarowym dla korzystania z naturalnej wprawdzie drogi wodnej Bizoni, tym niemniej znajdującej się w najważniejszym odcinku w obcych rękach. Anglosasi sami to zauważyli i w obliczu dokonanego faktu przyznania kredytu dolarowego, próbowali nieco zejść z obranej drogi. Widocznie się to w lipcowym

tucji kierującej sprawami gospodarczymi Bizoni. W myśl tego zarządzenia wszyscy zagraniczni armatorzy, uczestniczący w transzycie niemieckim przez Rea, winni być reprezentowani w morskich portach tranzytowych przez agencje niemieckie! Dalej, JELA wyraziła życzenie, aby w transzycie towarów niemieckich flotyła reńska była uprzywilejowana, przeciwko czemu z kolei żywo zaprotestowali Holendrzy, posiadający największy taboru do żegluga na Renie.

Z początkiem października br. rozpoczęła się nowa etapa w „spore portów“: Rotterdam i Antwerpia na pewien czas odczekały utracą na rzecz Brukseli i Hamburga pozycję. Ugoda, zawartą między JELA a rządami Belgii i Holandii, poprzedziła „atencją“, umiesioną w Paryżu wysiankom zainteresowanych rządów przez Mac Kikricka, pomocnika ambasadora Harrimana. W audycji tej delegaci belgijsko-holenderscy mieli wytykać Mac Kikrickowi, że kredyty — udzielone w ramach Planu Marshalla Bizoni — mogą „umiejtnie“ użyte, służyć równocześnie popieszeniu gospodarki i Bizoni i państw Beneluksu.

Jak się okazuje, nowo zawarta ugoda polega częściowo na propozycji belgijsko-holenderskiej, przedstawionej reprezentantom JELA na początku czerwca br. we Frankfurcie nad Menem. Celem koordynowania działalności władz i towarzystw żeglugowych państw, uczestniczących w transzycie towarów idących Renem do Rotterdamu i Antwerpii oraz w kierunku odwrotnym, stworzona została instytucja Rhine Central Booking Office, która ma służyć

Office stać będzie dwóch dyrektorów, Jean Beig i Jean Holender, wspomagani przez trzech belgijską i niemiecką, które członkowie mogą wybrać spośród osobistości produkcyjnych w życiu gospodarczym obu krajów. Siedzibą instytucji oozano Rotterdam.

Rhine Central Booking Office będzie kierować ruchem towarów tranzytowych następująco: jeżeli łączne oooty będą niższe lub równe 1,2 miliona ton miesięcznie, Belgia i Holandia przewiozą po 50% łącznego ładunku. Jeżeli wyniesie on do 3 milionów ton belgijska flota reńska przewiezie 35,8%, do 2,5 miliona — 31,5%, do 3 milionów ton — 28,1%, do 3,5 miliona ton — 26,5%, do 4 milionów ton — 25%, do 4,5 miliona ton — 23,8% i do 5 milionów — 21%. Cyfra ostatnia odpowiada udziałowi obu krajów w przedwojennym transzycie niemieckim towarów Renem, przed rozpoczęciem „sporu portów“. Dla porównania można dodać, że w toku pierwszego półroczu 1948 przez porty belgijskie i holenderskie przeczodziło przeciętnie 1,1 miliona ton miesięcznie.

Powyższy układ wszedł w życie 1. X. i opiewa na okres próby 3 miesięcy.

JERZY PERTEK.

TYGODNIK WYBRZEŻA

EUROPA A KOLONIE

Zaczątki posiadłości zamorskich spotykamy już w starożytności i średniowieczu. Były to jednak albo placówki handlowe — jak osady Fenicjan później Wenecjan i Genuencyków, albo niezależne państwa jak kolonie greckie. Właściwy rozwój potęg kolonialnych nastąpił dopiero w początku ery nowożytnej, jako skutek rozwoju żeglugi i wielkich odkryć geograficznych.

Pierwsze kroki uczynili Portugalczycy, posuwając się od początków XV-ego wieku wzdłuż brzegów Afryki, Gwinei Angoli i Kongo. Odkrycie drogi wokół Przylądka Dobrej Nadziei w roku 1487 otworzyło przed nimi drogę na wschód. Już w początkach XVI-ego wieku w posiadaniu Portugalii znalazły się zachodnie wybrzeża Indii, Cejlonu i wyspy malajskie. Niebawem do wspólza wodnictwa stanęła też Hiszpania. Odkrycia Kolumba stwarzały niezmiernie możliwości na zachodzie. Oba państwa włączyły niepodzielnie nad morzami do końca XVI-go wieku. Dla uniknięcia zatargów zawarły one układ w Torde-sillas w 1494 roku przynajmniej Hiszpanii ziemie półkuli zachodniej, a Portugalii wschodniej.

Do połowy XVI-ego wieku zdobywcy hiszpańscy opanowali całą Amerykę południową i środkową, Florydę oraz odkryte w 1522 Filipiny.

W końcu XVI-ego wieku rozpoczęła się zmierzchność potęgi hiszpańskiej i zupełny upadek Portugalii. Na czoło narodów morskich wysuwają się Holendrzy. Wydzierają oni większość kolonii portugalskich na wschodzie, osiedlają się również na Przylądku Dobrej Nadziei i zakładają Nowy Jork.

Francja wzięła o wiele później udział w ruchu kolonialnym. W XVII-tym wieku powstają osady francuskie w Kanadzie i na wyspach Antylskich. Dopiero wiek XVIII-ty przyniósł bujny rozwój imperium francuskiego. Objęło ono wówczas południową część Stanów Zjednoczonych, Kanadę, Antylli, znaczną część Indii i Senegal na zachodniej Afryce. Teraz jednak wystąpił pilny współzawodnik — Anglii.

W początkach XVII-ego wieku Anglia z kraju rolniczo — przemysłowego przekształcała się niezwykle szybko w naród żeglarski. Wojny domowe i religijne powodowały liczną emigrację która od roku 1609 tworzyła osady na wybrzeżu atlantyckim Ameryki północnej. Przez cały wiek XVII-ty trwały zmagania morskie Anglii z Holandią i Hiszpanią, z których wreszcie wyszła zwycięsko. Brytyjczycy usadowili się na Jamajce, Antyllach, wybrzeżu Afryki i w 1672 wyparli Holendrów z Nowego Jorku. Teraz przysłała kolej na Francję, która za nieudolnych rządów Ludwika XV-ego traci w 1763 na rzecz Anglii wszystkie swe posiadłości w Ameryce północnej, w Indiach i na wyspach.

POLITYKA WYZYSKU.

Pierwszy okres zamorskiej ekspansji narodów europejskich trwa do końca XVIII-ego wieku. Cechuje go system rządów zwany kolonialnym, zmierzający do jaknajdalejszego wyzysku posiadłości zamorskich przez państwo macierzyste. Rządy europejskie zmuszają kolonie do sprowadzania towarów tylko z kraju, uniemożliwiają wywóz do sąsiednich krajów, zabraniając wstępu obcym statkom, i hamują rozwój przemysłu w koloniach. Imperium hiszpańskie rządzone było przez królewskich urzędników — główne dochody płynęły z kopalni złota i drogich kamieni. Podobny ustrój posiadały kolonie francuskie, opierające jednak swój byt na rolnictwie. Anglii i Holendrów oddawali zarząd kolonii w ręce towarzystw handlowych, t. zw. „kompanii” — które w zamian za opłatę skarbu otrzymywały prawa suwerenne i monopoli handlu. Jedynie tylko atlantyckie kolonie Ameryki północnej, zamieszkałe przez liczną ludność pochodzenia angielskiego posiadały organiczny samorząd na wzór ojczysty. Praca w koloniach opierała się na niewolnikach. Byli nimi albo krajowcy, lub też jak w

Ameryce sprowadzani tysiącami murzyni.

Na przełomie XVIII-ego i XIX-ego wieku nastąpił upadek europejskich imperiów kolonialnych. Zienawidzony system rządów spowodował odwrócenie się stanów Zjednoczonych od Anglii w roku 1776 — za ich śladem w początku XIX-ego wieku poszły wszystkie posiadłości hiszpańskie w Ameryce, z wyjątkiem Kuby, Portorico, oraz portugalska Brazylia.

Państwa Europy stają nagle wobec konieczności ponownej odbudowy swych posiadłości i stosowania tam innej polityki. Kontynent amerykański przestaje już być terenem kolonialnym zwłaszcza po ogłoszeniu słynnej doktryny Monrogo: Ameryka dla Amerykanów. Imperializm europejski szuka więc nowych obszarów na terenie Azji Afryki i Oceanii.

BAZY STRATEGICZNE.

Wielka Brytania zabrała się najszybciej do rozszerzenia stanu posiadania i koniecznych reform. Już w czasie wojen napoleońskich zagarnęła część posiadłości holenderskich: Cejlon, placówki w Indiach i południową Afrykę rozbudowując przy tym posiadłości Kompanii Wschodnio-Indyjskiej. Anglii zatrzymali również w swym wyłącznym władaniu nowo odkryty kontynent australijski, zakładając tam od 1788 roku kolonie karne. Polityka brytyjska w pierwszej połowie XIX-ego wieku dąży do utworzenia strategicznych placówek we wszystkich częściach świata, jak w Ameryce, Gujanie i Honduras, na Morzu Śródziemnym Malta zajęta w 1803 roku, Aden i wybrzeża Morza Czerwonego, Singapur w 1819 roku, Honkong. Anglia wkroczyła teraz na drogę reform, znosząc dla kolonii zakaz handlu z obcymi państwami w latach 1822-25 i uwalniając murzynów w roku 1833-cim.

Naród francuski utracił wszystkie kolonie za wyjątkiem kilku miast w Indiach Senegalu i nielicznych wysp niezniechęcił się zupełnie do wszelkiej działalności zamorskiej. Pierwszą jego ponowną próbą, zajmowanie Algieru rozpoczętą w 1830 roku, wywołana była przez rządowe kombinacje polityczne. Reformy nastąpiły później w posiadłościach francuskich niż angielskich; murzynów uwolniono w 1848, a dopiero w 1861 wprowadzono swobodę handlu.

Wśród narodów kolonialnych coraz większą rolę ją odgrywać Rosja, która od XVII-ego wieku posuwała się z wolna w głąb Syberii, a po wojnach napoleońskich sięgnęła aż do Alaski w Ameryce Północnej i rozciągnęła swą panowanie nad Morzem Kaspijskim.

Rozpowszechnienie żeglugi parowej spowodowało w drugiej połowie XIX wieku prawdziwy wyścig między pa-

stwami celem zawiadnięcia terenów zamorskich. W pierwszym okresie aż po rok 1880-ty brały w nim udział głównie Wielka Brytania i Francja, zwracając przede wszystkim uwagę na krainy nadmorskie. Anglii rozpozczeli zdobywanie Burmy i półwyspu Malajskiego. Począwszy od 1839 wśród ciężkich walk z krajowcami zajmowali Nową Zelandię, rozszerzając także swe posiadłości w Afryce Południowej i na wybrzeżach gwinejskich (Nigeria). Usuwali przy tym pozostałości dawnych systemów administracyjnych, znosząc po krwawym powstaniu w Indiach przestarzałą Kompanię Wschodnio-Indyjską w 1858. Kanada oczekiwała się w tym czasie pełnego samorządu jako pierwszy dominion w roku 1867.

NA PODOBÓJ AFRYKI.

Sukcesy Anglików przypominały Francji jej dawną potęgę kolonialną. Chociaż opinia narodu była temu przeciwna, wszystkie rządy francuskie dążyły wytrwale do odtworzenia stanu posiadania. Zajęto w Afryce Gabun, Sudan francuski i Gwineję, w Azji Koncehine i Kambodzę w 1859-63, w Oceanii liczne wyspy z Kaledonią na czele.

Po otwarciu kanału Sueskiego zaczęto doceniać strategiczne znaczenie Morza Śródziemnego i Afryki. Wnęf potem Anglii usadowili się na Cyprze i w latach osiemdziesiątych rozciągnęli swój protektorat nad Egiptem. Posuwali się przy tym coraz dalej w Południowej Afryce, łamiąc opór potomków holenderskich osadników. Wojna z Transjordanem w latach 1899-1902 utorowała Anglikom drogę w głąb Czarnego Łądu, a Cecil Rhodes rzucił hasło połączenia posiadłości brytyjskich od Egiptu do Przylądka Dobrej Nadziei.

Również Francuzi rozwinięli żywą akcję kolonialną, rozszerzając swe posiadłości w głąb Sahary i zajmując Madagaskar oraz prowadząc podobny Tomkinu i Annamu w Indochinach. Teraz i inne państwa zgłosiły także swe pretensje do kolonii, ruszając zwłaszcza na podobój Afryki, jedynej części świata jeszcze dotąd niezupełnie zajętej Niemcy stanowiący w rzędzie mocarstw po wojnie prusko-francuskiej, w roku 1884 ogłosili przyłączenie znacznych terenów w Afryce i na Nowej Gwinei. Dla Włochów pozostały już tylko niewiele warte kraje Somali i Erytrei nad Morzem Czerwonym. Klęska pod Adua zahamowała w roku 1896 dalsze postępy włoskie w głąb Abisynii.

W środkowej Afryce zbadanej przez wyprawę Stanleya, król belgijski Leopold II stworzył w 1884 roku „niezależne” Państwo Kongo, które testamentem zapisał swej ojczyźnie.

ROSYJSCY ŻEGLARZE-ODKRYWCY

Istnieje od wieków, nieposkromiona, nieprzewidywalna siła, która każe człowiekowi stać dążyć do ośmiągnięcia tajemnic strzeżonych zazdrośnie przez naturę. Dążenie to przerodziło się z biegiem czasu w wytyżoną, upartą walkę, z której człowiek nie zawsze wychodzi zwycięsko. Rozwój żeglarstwa rosyjskiego zajął w dużej mierze od szybkości i intensywności przenikania wzdłuż i w szerz euroazjatyckiego kontynentu, celem znalezienia dogośnego wyjścia ku morzu. Najbliższe sąsiedztwo z morskimi przestępcami Arktyki spawiało, że w tym właśnie kierunku poszły pierwsze wyprawy Rosjan.

Tym szlakiem przenikali Rosjanie znacznie wcześniej niż inne narody. Na mapach, wydanych ok. 1500 r., widniały już odkrycia geograficzne dokonane przez rosyjskich żeglarzy. Bez jakiegokolwiek naprzymityniejszych bodaj przyrzędów nawigacyjnych, na płaskodennych czołach uszczelnionych gliną i mchem, udawali się w dalekie niebezpieczne rejony mieszkają rosyjskiego przymorza wzdłuż brzegów Murmańska, do Skandynawii, dochodząc do ujścia rzek Leny, Obu i Jeniseju, dopływali do Kamczatki, pod Amur i na Morze Ochockie.

Ludzką wiele ma do zawładnięcia Pjeterkowi, Moskwinowi, Rebrewowi, Stachudnowi, czy też Dzięzielowowi, którzy pierwsi w historii przekroczyli granice nieznanych lądów i dokonali tego w miesiącach znanych ze swej nieprzyjemności. Dzięziów i jego współtowarzysze przetarli szlak drogę wodnych dla na-

badania na wodach Oceanu Lodowatego i Spokojnego. Ekspedycja Beringa i Czirikowa w swych rozmarach i praktycznych osiągnięciach bynajmniej nie ustępowała wyprawom Kolumba i Magelana.

MIEDZY AZJĄ A AMERYKĄ

W okresie 10-ciu lat zaciętej, nieubłaganej walki z przyrodą, uczestnicy tej historycznej wyprawy zacytuowanie stwierdzeń istnienie cieszmy między Azją i Ameryką, poprawili mapy północnej części Oceanu Spokojnego, odkryli północno-zachodnie brzozy Ameryki, nazwanej w następstwie tego Ameryką Rosyjską, ponownie wyspy kurylskie, porucznik drogę do Japonii, odwiedzili Kamczatkę, założyli port Pietropawłowski, zbudowali pierwsze statki floty Oceanu Spokojnego, a przede wszystkim wykonalili szlak północnego szlaku morskiego i nakreśliли kontury wybrzeży Oceanu Lodowatego.

Oto w telegraficznym skrócie efekty wytyżonej dziesięcioletniej pracy pionierów północny, godnych imienia prawdziwych bohaterów, pełnych poświęcenia i samozaparcia. Pod kierownictwem Beringa, Czirikowa, Malgina, Dymitra i Charytona Łaptiewych, Czeluski i in. załogi ekspedycyjne działały na przestrzeni o długości 13 tysięcy kilometrów, przebywając w najbardziej surowym klimacie między 64 i 78 stopniem szerokości północnej. Przy zastopowaniu astronomi określono ważniejsze punkty krańcowe północnej Azji.

NA SZLAKACH ŚWIATA

Epoka podróży dookoła świata w historii żeglarstwa rosyjskiego zaczęła się nieco później niż w innych krajach. Niemca do drugiej połowy XVIII wieku żeglowanie miało charakter goryczy i nie posiadało większego znaczenia. Wiek XIX natomiast, to okres, w którym fiata rosyjska okonywuje znacznie więcej dalekomorskich rejsów, niż dwie ówczesne potęgi morskie świata: Anglia i Francja.

Nie w kosci tych rejsów tkwi jednak ich istotna waga i wartość. Ważnym jest odkryty wiatu w swawoju naukę, wniesiony przez żeglarzy rosyjskich owych czasów. W rejsach do Ameryki Rosyjskiej oraz w specjalnych wyprawach naukowych dokonano 56 ważniejszych odkryć, poprawiając jednocześnie szereg błędów popełnionych przez dawnych odkrywców. W ten sposób paprawiono błędy angielskiego podróżnika Cooka, dotyczące południowego Atlantyku i okolic Antarktydy, która tenże określił jako ląd nieprzystępny.

Odkryto ponadto szereg wysp w Polinezji, zatoki i wyspy Dalekiego Wschodu i szóstą część świata: ląd Antarktydy. Ustalono dokładnie położenie nieznaną dotąd ziemi na morzu Czukockim, nazywanej potem wyspą Wrangla, zorganizowanej czterokrotnie trudne ekspedycje wśród lodów Morza Karskiego, dookoła Nowej Ziemi. Zebrano obfite materiały dotyczące etnografii, antropologii, wydano atlas Morza Południowego. Ich obser-

Stany Zjednoczone podkreślały narazie stanowczo zamiar pozostania państwem kontynentalnym. W drugiej połowie XIX-ego wieku zdecydowały się jednak sięgnąć również po kolonie. Pierwszą ich posiadłością zamorską była Alaska, kupiona tania od Rosji w 1867 roku. Ten nabycie opłacił się bar dzo Amerykanom, gdyż w 30-cj lat po tem odkryte tam złóżymie złoża złota. Wzrastająca potęga Japonii skłoniła Amerykanów do zajęcia niepodległych wysp Hawajskich i stworzenia tam potężnej bazy morskiej. W cztery lata później zwycięska wojna z Hiszpanią dała im po krótkiej wojnie Filipiny, Portorico i protektorat nad Kubą. Hiszpania straciła swe ostatnie posiadłości amerykańskie, sprzedając Niemcom wyspy Karoliny na Oceanie Spokojnym, a sama skupiła swe siły w Marokko. Rosja podbrzywszy plemię Azji Środkowej osiągnęła wspólną granicę z Indiami ku wielkiemu zaniepokojeniu Anglii.

W ciągu lat poprzedzających wojnę światową trwało nadal rozszerzanie dotychczasowych posiadłości państw europejskich w Afryce. Francuzi próbowali opanować od strony Kongo górną dolinę Nilu, ale uprzedzili ich w tym Anglii. Włochy pozyskali nową zdobycz, wywalczając na Turcji Trypoli, także jedno z ostatnich niepodległych państw afrykańskich Marokko dostało się pod protektorat Francji. Wy nik wojny 1914-18 przyniósł duże zmiany w podziale świata. Posiadłości pobliż Niemiec rozdzielono jako mająd daty przeważnie między Francję i Anglię. Mocarstwa te zyskały również kontrolę nad państwami arabskimi, powstałymi na gruzach cesarstwa tureckiego — jak Syria, Libanon, Transjordan, Palestyna, Hedżas, Jemen i Irak.

Zarazem jednak w XX-tym wieku w większości kolonii zaznaczył się ruch niepodległościowy. Egipt uwolnił się zraz po wojnie z opieki brytyjskiej, Australia, Południowa Afryka, Nowa Zelandia uzyskały niemal całkowitą niezależność jako dominiony. Indie, perł kolonii brytyjskich wywalczyły również powoli coraz obszerniejszy samorząd.

ZMIERZCH ERY PODOBÓJÓW

Druga wojna światowa i wypadek ostatnich czasów świadczą o dalszym pogłębianiu się tego procesu. Coraz to dalsze kolonie domagają się pełnej niepodległości, a włoska próba podobój Abisynii okazała się zupełnie nietrwałą. Niewątpliwie era kolonialnego panowania Europy nad światem ma się krschylkowi. Można przypuszczać, że z czasem wszystkie narody innych ras w miarę swego rozwoju prędzej czy później otrząsną się z nieproszonej opieki Europy.

Kazimierz Śląski.

CI, KTÓRZY PRZETRZEWALI SŁOWIŃCY NA POMORZU ZACHODNIM

Wśród ponad 1 milionowej rzeszy niemieckich autochtonów zamieszkujących Ziemię Odzyskaną przynajmniej większość stanowią Ślązacy, dalej zaś Polacy, którzy przetrwali na terenie Prus Wschodnich, a wreszcie żyjący polscy osiadły na obszarze b. niemieckiej Marchii Poznańsko-Zachodnio-Pruskiej.

Najmniej natomiast wie się o żywej słowiańszczyźnie na Pomorzu Zachodnim, przetrwanie której do dziś dnia stanowi widomy fakt jego słowiańskiej przeszłości i do argumentów historycznych, gospodarczych oraz strategicznych dorzucza legitymację narodowościową dla dokonanej rewindykacji Zachodniego Pomorza.

Mimo trwającej od 800 lat systematycznej germanizacji Pomorza Zachodniego, mimo wymarcia już w roku 1637 piastowskiej dynastii książąt zachodnio-pomorskich słowiańszczyzna utrzymała się tu nie tylko w przezwaniach polskich nazwach miejscowości, rzek i jezior lub w dużej ilości polskich nazwisk, czy też w szeregu zabytków i wykopalsk. Znaczna większość zgermanizowanych Pomorzan zachodnich ma w swych żyłach polską krew, a pewna zresztą niewielka ich część zachowała polski język jeszcze w 20 wieku i to do czasu powrotu Polski na Ziemię Odzyskaną.

Żywa polskość na Pomorzu Zachodnim nigdy nie wymarła. Oprócz elementu wychodźczego z Poznańskiego i Wschodniego Pomorza, który tu osiadł wśród Niemców, rozrzucony na wielkich przestrzeniach, zachowywał się jeszcze zwarte enklawy autochtoniczne. Do wybuchu drugiej wojny światowej na terenie Rzeszy niemieckiej wzdłuż granic ówczesnego polskiego Pomorza w szeregu wsi powiatu lęborskiego i bytowskiego, a poniekąd również w powiecie człuchowskim i miastkowskim ludność mówiła po polsku gwara kaszubska i była zwłaszcza w bytowskim uświadomiona narodowo. Głosowała na listy polskie do reichstagu, zdołała wywalczyć kilka szkół ludowych, posiadała polski bank w Bytowie, wywalczyła prawo do organizacji kółek śpiewaczych itp. W tych czterech powiatach zwerifikowano do tychczas ponad sześćset tysięcy autochtonów. Liczba ta niewątpliwie wzrosła dzięki repatriacji autochtonów z Niemiec.

Jednak język polski utrzymał się nie tylko na pograniczu. Ten cud przetrwania do 20 wieku mowy polskiej w głębi Pomorza Zachodniego wbrew potwornemu uciskowi wielowiekowej germanizacji będzie przedmiotem dalszych naszych rozważań.

GWARY STAROPOLSKIE

Wśród zachodniej słowiańszczyzny dość wcześnie wyodrębniła się grupa języków lechickich. Dialekty staropolskie między Szczecinem a Wisłą stanowiły przejściowy pomost między gwarami zachodnio-lechickimi czyli polskimi, a wschodnio-lechickimi czyli polskimi z tym zastrzeżeniem, że zbliżenie ich do języka polskiego było i jest znacznie ściślejsze, tak, iż właściwie nie możemy tu mówić o odrębnym języku, jak chcą niektórzy badacze niemieccy, lecz o północno-polskiej gwarze w przeciwstawieniu do gwar południowo-polskich.

Najliczebniejszą, żywą pozostałością gwar staropolskich jest kaszubszczyzna. Obok niej w głębi Zachodniego Pomorza w powiecie słupskim, między nadmorskimi jeziorami Gardno i Łeba zachowała się jeszcze w 20 wieku wyspa gwary staropomorskiej, zwana słowińska, spokrewniona z gwarami kaszubskimi, lecz mniej spolonizowana w sensie polskiego języka literackiego. Została ona oddzielona wałem niemieckim od swego kaszubskiego pnia dopiero w pierwszej połowie 19-go wieku i zdołała się przez dłuższy czas opierać germanizacji dzięki trzem czynnikom: protestantyzmowi, który naukę chrześcijańską podawał w języku narodowym, położeniu na uboczu od wydatniejszych wpływów cywilizacyjnych, w tym wypadku niemieckich i regionalnej odrębności zawodowej (rybołówstwo).

Podczas gdy księstwo rugijskie i Pomorze Nadodrzańskie fala germanizacji ogarnęła już w 12 i 13 wieku, a mowa słowiańska kołatała się jeszcze tu i ówdzie do wieku 15-go, a nawet 16-go, to przymorskie tzw. Pomorze Dolne utrzymało swój słowiański charakter zwłaszcza na wsi w ciągu całego 16-go wieku.

Na wschód od Sławnia nawet szlachta nie znała wówczas języka niemieckiego. Jeszcze do 1700 roku w Słupsku odbywały się polskie nabożeństwa ewangeliczne. Słupski pastor Haken, znany germanizator, uskarżał się w 1780 roku, że ludność północno-wschodniej części powiatu słupskiego przeważnie lub też wcale nie rozumie po niemiecku.

O ile w tym wieku polski obszar językowy zmniejszał się powoli, o tyle wiek 19-ty dzięki ulepszeniu metod germanizacji przyniósł gwałtowne kurczenie się polskości. W 1-szej połowie ub. wieku obszar ten na skutek kolonizacji i postępujących procesów asymilacyjnych został ostatecznie odcięty od wschodu niemieckim klinem cygańskim się do Łęborka do miasta Łęby.

SŁOWIŃSKA WYSPA JĘZYKOWA

W ten sposób wytworzyła się wspomniana słowiańska wyspa językowa.

Rozpadała się ona na dwie grupy gwarowe rozdzielone rzeczką Pustynnik (po niemiecku Pustynnikbach), wpadającą obok wsi Kluki do jeziora Łeba. Na zachód od tej rzeczki mieszkali właściwi Słowińcy, a na wschód Kabatkowie czyli Niniacy.

Dowodem niebywałej odporności żywiołu słowiańskiego tej ziemi jest fakt, że Niemcy byli zmuszeni jeszcze przez cały 19-ty wiek utrzymać polskie nabożeństwa ewangeliczne w miejscowościach, w których ludność nie rozumiała po niemiecku. W Smoldzi-

nie zniszono je w 1832 roku, w Gardnie w 1845 roku, w Łebie w 1850 roku, w Charbrowie w 1875 roku, w Cecenowie w 1876 roku.

Ostatnie nabożeństwa polskie na Pomorzu słowiańskim zniszono w Głównyżycach w 1886 r. Oczywiście nie było to równoznaczne z całkowitym zanikiem słowiańszczyzny na ziemi słupskiej i w zachodnich skrawkach powiatu lęborskiego. Chłop słowiański w domu w dalszym ciągu odmawiał „Ojcie nasz” po swojaćku:

„Woejce nasz, chłote te jes w niebie, swancone niech bandze imian tuoje, przyjźde noum kroulestwe twu oje, tuojoja wuoła san wstani jak w niebie, tak na zemi. Twój chłjeb powszednan, mili Jezusku, daj noum dzys, a wetuspece noum nasze wine, nasze grzesze, jak my wetuspicme naszymu winowatemu, a nie wedze nas w pokuszenie, ale nas webaui weto wszewo grzechu. Te twao jesta muoc, chwała, pocziesność wet wieka do wieka. Amen”.

Tak brzmiało „Ojcie nasz” w gwarze słowiańskiej, a właściwie tak brzmiało w przybliżeniu, trudno bowiem te niuansy dyfongowe, akcentowe (akcent nie zawsze na drugiej sylabie od końca) itd. oddać w alfabecie niefonetycznym. Nawet takie na pozór proste słowo jak „amen” Słowińcy wymawiali nieco inaczej niż to zostało „wyliterowane” wyżej.

Gwarę tę zaczęto badać naukowo dość wcześnie. O ile nam wiadomo już w 1702 roku gdańszczanin Gaminus w swym niedokończonym słowniku niemiecko-łacińsko-polskim uwzględnił wiele wyrazów kaszubskich i kabackich. To samo uczynił w słowniku niemiecko-polskim wydanym w 1822 roku Polak, pastor Mrongowius, który żywo interesował się problemem słowiańskim.

W drugiej połowie 19 wieku słowiańszczyzna stała się przedmiotem systematycznych badań lingwistów różnych narodowości. W 1856 roku zwiedził ją i językowo opracował Rosjanin Hillerding, który stwierdził jej znaczne podobieństwo do języka polskiego przy pewnej niewielkiej ilości wyrazów spotykanych w innych językach słowiańskich, które to wyrazy lub nawet formy gramatyczne zanikły już w nowoczesnym polskim języku literackim. Gwarę słowiańską badali również Poblöcki, Derdowski, Parczewski, Ramułt, Genowa, Łęgowski i szereg innych badaczy polskich.

Również Mikkola w swojej rosyjskiej pracy napisanej na podstawie badań wykonanych w 1896 roku między innymi w Klukach i w Wielkim Gardnie, posunął naprzód znawstwo słowiańszczyzny. Bardzo dokładne opracowanie mowy słowiańskiej, wykonali Niemcy Tetzner i Lorenz na podstawie badań archiwów kościelnych, jak również nowszej żywej mowy ludowej pod koniec 19-go i w pierwszych latach 20 wieku. Ostatnich badań mowy słowiańskiej w terenie dokonali językoznawcy polscy przed pierwszą wojną światową, a po drugiej wojnie światowej szczyt tej mowy badał Doc. Zabrocki i in.

Pierwszym historycznym pomnikiem mowy słowiańskiej jest protestancki kancjonał wydany przez pastora Szymona Krofeyę w 1586 roku. Język kancjonału jest oznaczony przez autora jako „Sławieski język”.

STOLICA SŁOWIŃSKIEJ KULTURY

Z czasem stolicą słowiańskiej kultury stała się kościelna wieś Smoldzino. Niewątpliwie znaczny wpływ na powstanie tego ośrodka miało osiedlenie się w Smoldzinie wraz ze swym dworem księżny Anny Croy gorliwej protektorki mowy przodków.

W 1643 roku protegowany ks. Anny smoldziński pastor Michał Mostnik (alias Pontanus, alias Brueckmann) wydał po słowiańsku katechizm luteński. Portret Mostnika trzymającego książkę z tekstem dwóch pierwszych przykazań w języku polskim dochował się w kościele smoldzińskim aż do wkroczenia wojsk polskich i znajduje się obecnie w muzeum słupskim. Zarówno Krofey jak Mostnik w swych książkach posługiwali się w różnych odcieniach językiem pośrednim między polskim literackim, a słowiańskim. W 1758 roku prawdopodobnie smol-

dzinski pastor Engeland przerobił i wydał Mostnikowy katechizm, a ostatnie jego wydanie ukazało się w 1828 roku w opracowaniu pastora Mrongowiusa. Poza tym znanych jest jeszcze kilka rękopisów słowiańskich o treści religijnej i świeckiej.

W 20 wieku wydano wprawdzie sporo książek z tekstami słowiańskimi, są to jednak teksty zapisywane przez uczonych z rozmów ze Słowińcami — teksty wypowiadane przez ostatnich mohikanów słowiańszczyzny na Pomorzu Zachodnim.

Postępy germanizacji były ogromne — słowiańszczyzna konała i to koniała szybko. Przecież jeszcze w pierwszej połowie 19 wieku zniszczenie polskich nabożeństw pociągano za sobą w jednej z wsi bunt chłopski. Około 1900 roku tylko kilkuset mieszkańców mówiło jeszcze po słowiańsku względnie po kabacku, a około tysiąca rozumiało tę mowę. Byli to niemal wyłącznie ludzie starzy. „Kaszebscy leźde jako pluwee roztrzasle se” (Kaszebscy ludzie jak plewy roztrzęśli się) — jak powiedziała Łęgowskiemu pewna Słownka. Jeszcze dziś wielu starców zna po kilkanaście, kilkudziesięciu lub nawet kilkaset słów słowiańskich, natomiast nikt już nie wieada płynnie mową swoich przodków. Jeden z nich mieszkaniec Kluk w rozmowie z nami umiał nazwać niemal każdy wskazany przedmiot, a nawet wymawiał tak trudne słowa jak trzcina, strzecha itp. chociaż nie mógł już mówić zdaniem. Inni starsi ludzie oprócz pewnej ilości słów pamiętali jeszcze słowiańskie przysłowia i fragmenty modlitw. Do dziś dnia w powszechnym użyciu znajdują się niektóre słowiańsko-polskie nazwy związane z rybołówstwem i rolnictwem, a poszczególne części wsi lub nawet pojedyncze zagrody, czy części jeziora oraz chłopskie przeczyska bywają tradycyjnie określane po słowiańsku.

Napotkaliśmy się np. z takimi nazwami zagród jak „Pioskuouwe” (piaszkowe), dambuouwe (od damb — dąb) itp.

Znamiennym i urastającym do rozmiarów tragicznego symbolu jest fakt, iż ostatnia płynnie mówiąca po słowiańsku kobieta zmarła w 1945 roku — w roku wyzwolenia jej ziemi, o której Polska Jagiellonów niemal zapomniała, a Polska kilkusetletniego nizu cywilizacyjnego właściwie nie chciała wiedzieć.

ŻYWE TRADYCJE

Momentem godnym podkreślenia jest dziś to, że na obszarze kilkunastu wiosek posłowińskich żyje jeszcze rodzinną tradycją słowiańską pochodzenia, co niezmiernie utrwala proces repolonizacji tych autochtonów, którzy nie zostali wysiedleni do Niemiec. Słowińcy podobnie jak Mazury w 1945 roku zostali skrzywdzeni. Niewątpliwie doznane krzywdy odstręczały ich od polskości, której zresztą od dawna nie znali. Wielu z nich, a nawet tych, którzy stanowili bezbenny obiekt do badań językoznawczych wysiedlono. Zostało ich na ojczystej ziemi około 450.

Od 1947 r. sytuacja Słowińców zmieniła się radykalnie. Nić duchowa między Słowińcami a polskością nawiązuje się. Jest lepiej, chociaż jeszcze wiele trzeba zrobić dobrego, aby ich zbliżyć do polskości. Powoli odzyskują swą własność. Polski Związek Zachodni i Komitet Opieki nad Autochtonami wspiera ich pieniądze i moralnie.

Od 2 lat Słowińcy stają się na szczęście coraz bardziej „modni”. Interesują się nimi już nie tylko amatorzy, jak np. niżej podpisany, lecz, co najważniejsze, specjaliści-ethnografowie i językoznawcy, a władze państwowe przy współudziale czynnika społecznego przeprowadzają konsekwentną politykę repolonizacyjną.

Polkości tej ziemi gromadzącej do niedawna tylko prochy nie trzeba już szukać w starych kancjonałach, które niegdyś wkładano do trumien zmarłym. Odżyła bowiem w polskiej mowie słowiańskich dzieci. Odrodziła się powrotną falą na całym Zachodnim Pomorzu, gdzie bije już milion polskich serc.

J. Posmykiewicz

naukę, znaną dziś pod nazwą oceanografii.

PO REWOLUCJI

Powstanie Związku Radzieckiego zapoczątkowało nową erę w dalszych wyprawach odkrywczych, których jednym z głównych celów było pokonanie trudności na północnych szlakach komunikacyjnych i stworzenie przez to warunków do utrzymania normalnej żeglugi. Jeszcze w 1918 roku w rozgwarze wojny domowej i walk z wojskami interwentów, rząd radziecki zatwierdził plan ekspedycji Karskiej. Nie doszła ona jednak do skutku, gdyż w tym czasie Archangielsk i Murmańsk zostały zajęte przez wojska białogwardzistów.

Pierwsza zrealizowana wyprawa do Arktyki miała dość oryginalną historię. Wkrótce po swej ucieczce z Archangielska białogwardziści wysłali w kierunku wybrzeży morza Pieczerskiego Łodolamca „Stołowej Budimirowicz”. Łodolamca ten nie dobrał jednak do miejsca przeznaczenia, lecz został uwieczony przez dryfujące lody i powędrował unoszony prądami i wiatrami w kierunku Morza Karskiego, a następnie dalej na Północ. Na statku tym znajdowała się duża ilość pasażerów, wśród których poważną część stanowiły kobiety i dzieci.

Sytuacja ich stawała się z każdą chwilą coraz bardziej tragiczna, a grozę powiększył brak żywności i materiałów pędnych. Alarmujące meldunki kapitana statku nie wzruszyły widocznie białogwardzistów, którzy nie myśleli nawet o przesłaniu jakiegokolwiek pomocy. W tych warunkach rząd radziecki przystąpił natychmiast do organizacji akcji ratunkowej. Wystano dwa łodolamce „Kanada” i „Świątgor” (obecnie „Krasnina”). Walcząc z żywiołem ekspedycja dotarła do miejsca, w którym przebywał zdruzony łodolamca. Uratowano wszystkich będących już w kresu sił pasażerów i załogę, statek zaś przyholowano do portu. Stał się on potem znanym całemu światu jako bohaterki łodolamca „Małygina”.

DROGA PÓLNOČNA

W latach następnych równoległe do rozwoju gospodarczego, radzieckie wyprawy arktyczne nabierają coraz większego rozmachu. Coroczne wyprawy statków handlowych do ujścia rzek Obu i Jeniseju, naukowe ekspedycje „Perseusza” i „Tajmyra”, rejsy „Krasnina”, „Małygina” i „Siedowa” na ratunek włóciemu podróżnikowi Nobile i towarzyszącom, których sterowice uległy katastrofie na Arctyce, rejsy do Ziemi Franciszka Józefa, wyprawy „Sybriakowa”, „Czeluskińa”, „Litke” do północnych szlaków morskich zimą wyprawa łodolamca „Józef Stalin” i szereg innych ekspedycji — oto wkład rosyjskich badaczy do ogólnoswiatowej nauki.

Z rosyjskiego streścił B. K.



Szczyt kościoła romańskiego w Obrycie pow. Gryfino

Z arcydzieł budownictwa Pomorza Zachodniego, jakie ocalały w dziejowych nawalinach, najwięcej tajemniczego uroku posiadają pamiątki średniowiecza, te zwłaszcza, które sięgają jeszcze pierwszych wieków chrześcijaństwa. Na tle niezliczonego mnóstwa budowli ceglanych, jakimi zasypał kraj strzelisty gotyk, występują granitowe dzieła sztuki romańskiej jak szare wyspy kamienne — niemi świadkowie słowiańskiej przeszłości nadbałtyckiej ziemi.

Kiedy przez Pomorze przeszła mija chrześcijańska Bolesława Krzyw-

ustego, że św. Ottonem z Bambergu, walić poczęto świątynie pogańskie, a na ich miejsce wyrastały zrazu skromne kościołki drewniane, z których oczywiście ani jeden nie dotrwał do czasów nowożytnych. Niektóre zastępowano rychło okazalymi świątyniami murowanymi. Nie brakowało na ziemi pomorskiej brył kamiennych, rozrzuconych po całym terenie jako olbrzymie glazy narzutowe. Pola usiane były mnóstwem kamieni polnych. Jedne i drugie służyły jako doskonały materiał budowlany.

W wieku XIII lud mieszkał w chatkach drewnianych, ale kościoły wznoszono z granitu. Ciosano bryły starannie, równając gładko płaszczyzny i układano w regularne warstwy, które dziś jeszcze policzyć można łatwo w zachowanych zabytkach okresu przejściowego, czyli schyłku stylu romańskiego, a zarania gotyku. Ten sposób obróbki kamienia i równy układ brył jest legitymacją pochodzenia budowli z owego zamierzonego okresu. Później nie zadawano sobie już tyle trudu. Okna smukłe, wąskie, zakończone w górze łukiem okrągłym, portale również okrągło-łukowe jako typowe cechy stylu romańskiego zaczynają już w wieku XIII ustępować właściwym gotykowi ostrołukom.

Nie było Pomorze ziemią spokojną, na której twory dawnego budownictwa bezpiecznie przetrwać by mogły wieki. Nękały je częstokroć wojny i napady, a obłężenia i pożary zamieniały w perzynę kwitnące bogactwem wsie, stroj-



Romański portal kościoła w Obrycie (pow. Gryfino)

ne w piękną architekturę miasta i miasteczka. Zdawać by się mogło jednakże, iż dla budowli z tak trwałego materiału jak granit i tak solidnej konstrukcji nie były groźne pożary, powodzie, ani obłężenia. Istotnie przeważnie oparły się one ogniovi, wodzie i dawnym pociskom, ale nie przemogły ludzkiej ignorancji, która szanować nie umiała cennych pamiątek historycznych, będących dziełami sztuki. Może więcej niż wskutek wojen zanikło podczas pokoju, w wiekach XVIII i XIX-ym — okresie bezmyślnego niszczenia i oburzającej profanacji.

Najbogatsze w architekturę granitową były na Pomorzu Zachodnim powiaty: szczeciński, pyrzycki, gryfiński, chojeński. Niestety ocalało bardzo niewiele z tej wspaniałej spuścizny, jaką pozostawiły nam wieki. Niektóre kościoły średniowieczne istnieją do dziś dnia, ale wszystkie bowały wielokrotnie przebudowywane i zaledwie fragmenty dają czyste świadectwo stylu, stanowiące metrykę starej budowli.

Czasami z kościoła średniowiecznego pozostawał tylko granitowy fundament, reszta zaś przedstawia obraz rozmaitych epok i stylów. Burzono, przerabiano, modernizowano, okładano grubym tynkiem surowe mury, poszerzano okna, zamurowywano portale — jakby wstydząc się każdego szczegółu, który mógłby przypominać średniowiecze. Najbardziej oburzający przykład takiego barbarzyństwa to kościół w Lisim Polu w powiecie gryfińskim. Trzynastowieczną budowlę granitową, zupełnie dobrze zachowaną prawie do końca XIX stulecia, rozebrano w roku 1893 do fundamentów poto, by z tego samego materiału zbudować kościół nowoczesny. Okna i portale obramowano ceglami nowymi, dzisiejszego formatu.

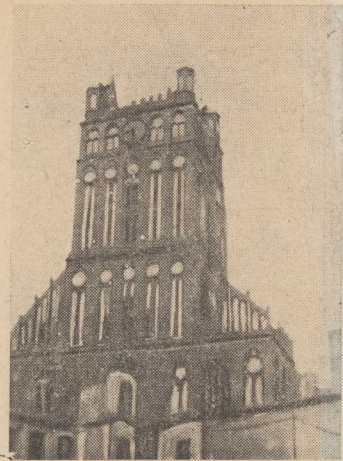
Trzeba bowiem wiedzieć, że cegły w średniowieczu miały znacznie większe wymiary (długość około 28—30 cm, szerokość 12—13 cm, wysokość 8—10 cm). Nawet układ cegieł w dawnych budowlach był inny, a zwano go wen-

dyjskim (słowiańskim). Kładziono dwie cegły wzdłuż, jedną na poprzek, znów dwie wzdłuż itd. W ten sposób wzrastał mur gruby i mocny. Wendyjski sposób murowania spotykamy w kościołach Najśw. Marii Panny w Słupsku, w kościele pod tymże wzwaniem w Stargardzie i innych. Choć Pomorze systematycznie było germanizowane od wieków, chociaż w grodach jego rozsiadło się mieszczaństwo niemieckie, jednakże po wsiach mieszkał lud słowiański, a miasta budowały według swego starego zwyczaju ręce słowiańskich robotników.

Dokoła Szczecina znajdujemy mnóstwo wiejskich kościółków, które byłyby świetnymi okazami budownictwa kamiennego XIII wieku, gdyby przed stu czy stulkudzieściami laty nie ruszyła ich ręka profanów. Wioski: Będargowo, Buk Szczeciński, Dobre, Kamionki, Mierzyn, Pargowo, Karwowo, Ustowo, Warzynice, Wołczkowo, Siadło Górne, Rosówko — miały takie kościoły. Pozostały jeszcze ich mury z gładko ociosanego, regularnie ułożonego granitu, cokoły o skośnym profilu, tu i ówdzie okno o łuku okrągłym, portal obramowany uskokami lub szczyt ozdobiony wklęsłym motywem krzyża w murze w otoczeniu smukłych, podłużnych blend. A obok tych starych form — wieżeczki z XVIII lub XIX wieku uwiecznione barokowym hełmem i t. zw. „latarnią”.

Powiat gryfiński szczyli się dwoma jedynymi na Pomorzu wiejskimi zabytkami stylu późno-romańskiego. Są to kościoły w Gardnie i Piasecznie, które jednak mocno oszpeciła nowoczesna przebudowa. Katedra w Kamieniu posiada też parę szczegółów romańskich.

Bardzo ciekawy zabytek XIII wieku znajduje się w Kołbaczu w powiecie gryfińskim. Początek jego sięga r. 1210. Był to ongi klasztor i kościół Cystersów — monumentalna bazylika w kształcie krzyża o proporcjach romańskich. Z pierwszego okresu budowy pochodzi nawa poprzeczna i dwa przęsła sklepienia nawy głównej. W r. 1347 przebudowano kościół na modłę gotycką, potem ulegał zabytek kilkakrotnie zniszczeniu i przebudowie. Ze zburzonego klasztoru pozostało 9 kapiteł kolumn, które znajdują się



Fasada zachodnia Kościoła św. Jakuba w Szczecinie

w Muzeum Pomorza Zachodniego w Szczecinie.

W powiecie pyrzyckim do typu zabytków pochodzących z XIII wieku, a później mocno zmienionych należą kościoły w Jesienowie, Sądowie, Kłodzinie Płońskim, Kosinie, Laskowie — w chojeńskim w Cedyni, Chelmie Dolnym, Dargomyślu, Lubiechowie Górnym, Naroście, Orzechowie, Rosnowie i innych wsiach.

Powiedział jeden z polskich historyków sztuki, że znacznie więcej szkód w dorobku artystycznym ludzkości, niż ich dokonać mogą wszystkie kataklizmy wojenne, czyni ludzka niepamięć na najcenniejsze zdobycze ducha. Słowa te wyrzeczone zostały wprawdzie w czasach, kiedy technika wojenna nie stała jeszcze na dzisiejszej tragicznej wyznicy. Ale dzieje pomników twórczości średniowiecza, tak bezmyślnie tępione — i pozostałe ich resztki, które ostały się przed bombami dowodzą, że ów historyk miał wiele racji...

FRANCISZEK FENIKOWSKI.

DŁONIE WIATRU



Rys. Andrzej Lępkowski

Możecie nie uwierzyć, ja wiem: wiatr ma dłonie, niewidzialne, lecz szorstkie dwie ręce Odysa... Patrząc o brzasku z rufy jak łąd w morzu tonie, czuję dłoń wiatru, która nad mą głową zwisa.

Dłoń ciężką przeznaczeniem...
Wiem: jesteście krewni.
Słyszę świszczące w wantach
słowa dziwnej mowy...
Innym brzozy szeleszcza
lirycznie i śpiewnie,
ja wolę język wiatru
prosty i surowy.

Niech więc powtórzą losy
Odysę grecką,
niech sumę brzegu przetną
fal błyszczące noże...
Wiatr oczy mi przeciera,
budzę się jak dziecko:
ziemia snem moim była,
jąwą mą jest morze!



Kościół w Pruszczu.

Fot. Z. Kosycarz

O reorganizację życia naukowego na wybrzeżu



Silniej, intensywniej aniżeli w głębi kraju pulsuje życie na wybrzeżu. Dwutyścinny statek w porcie, milionowa przeladowna tonna, usprawniona stacjonarna i wodowanie pierwszego rudowłocia — oto tematy i wydarzenia, które decydują o tętnie życia wybrzeżowego i wytyczają co raz nowe szlaki w płaszczyźnie dnia codziennego.

Ten „utylitarny powoz” dnia przesądza równocześnie o rodzaju społeczno-kulturowego obrazu wybrzeża, decyduje o nastawieniu mieszkanców do zagadnień nauki i sztuki. Wybrzeże do tych elementów wytworzości ludzkiego intelektu znajduje stosunek pozytywny tylko wtedy, gdy tematyce i zakresowi uwzględniają one zagadnienia morza, gdy stanowią w jakikolwiek sposób teoretyczną podbudowę pod tworzone nowe wartości praktyczne.

Dla tych też, między innymi, powodów skupiły się na wybrzeżu tylko te zakłady naukowe, które w najistotniejszy sposób, właśnie ze względu na jakość i rodzaj swej pracy bądź naukowo-dosлідzawczej, bądź też pedagogiczno-naukowej czy wydawniczej są najsilniej związane z morzem i

jego zagadnieniami. Politechnika Gdańska z jedynym w Polsce Wydziałem Budownictwa okrętowego, Akademia Lekarska, szkoła jako jedyna w Polsce lekarzy okrętowych i portowych, Akademia Handlu Morskiego w Sopocie, ze specjalizacją w dziedzinie handlu zagranicznego, Morski Instytut Rybacki i Instytut Bałtycki jako instytucja wydawnicza ze swoimi działami pomorzoznawczym i morskim — oto przykłady, że praktykę dnia codziennego na wybrzeżu buduje się na podłożu naukowo-dosлідzawczym. Co więcej — zagadnienia morskie są przedmiotem działalności ośrodków o typie zdecydowanie humanistycznym. I tak n. p. przy Bibliotece Miejskiej w Gdańsku powstaje Centralna Biblioteka Morska, a Gdańskie Towarzystwo Przyjaciół Kultury i Sztuki podjęło publikację „Monumentów Poloniae Maritima”.

Cały świat naukowy wybrzeża pracuje w dziedzinie problematyki morskiej.

Niestety, życie naukowe nie wykazywało tutaj dotychczas tego nasilenia, jakiego wskutek skupienia się kilku uczelni akademickich, w rejonie morskim należało się spodziewać. Byłoby rzeczą zbyt daleko idącą silić się na podanie wszystkich przyczyn istniejącego niezadawalającego stanu rzeczy. Najważniejszą z nich jest brak ośrodka uniwersyteckiego, który niejako „ex officio” spełnia rolę przodownika w akcji naukowej, a w związku z tym brak lub skromna jedynie ilość sił naukowych z dziedziny nauk humanistycznych i prawno-społecznych, do których z tytułu reprezentowanej przez nich gałęzi wiedzy należy przewodnictwo i organizacja działań ności naukowej.

Ponadto wskutek braku pracowników naukowych w uniwersyteckim tego słowa rozumieniu, to znaczy ludzi posiadających wyższe tytuły naukowe z dziedziny nauk społecznych, na Wybrzeżu spotykaliśmy się niejednokrotnie z „pseudonaukowścią”, strojącą się dekoratywnie w atrybuty nauki prawdziwej.

Możnaby też stawić poważne zarzuty pod adresem tzw. działalności wydawniczej. Kilkanaście prac naukowych, które ukazały się staraniem MIR-u czy np.

Akademii Lekarskiej lub Politechniki wzgl. Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki stanowi właśnie najlepszy dowód, że na Wybrzeżu brak zupełnie zdecydowanego programu wydawniczego, realizowanego przez jedną powołaną do tego placówkę. Nie krytykując dotychczasowej działalności wydawniczej Instytutu Bałtyckiego, trzeba przyznać, że jak dotychczas pracuje on w przeważającej ilości „obcymi siłami” nie zwracając uwagi względnie nie przykładając należytej wagi do dorobku naukowców miejscowych.

I na tym więc odcinku nie jest wcale dobrze. Wszystkie wymienione powyżej braki, znajdując się w rażącej dysproporcji do możliwości skupionych na Wybrzeżu naukowców i stanowią zresztą dowód, że życie naukowe na Wybrzeżu musi ulec zdecydowanej reformie. Koniecznością wydaje się stworzenie Towarzystwa Naukowego zamkniętego, złożonego z kilku wydziałów, w którym skupiłyby się prace naukowe Wybrzeża, i które stanowiłoby wzór wszystkich towarzystw naukowych zamkniętych koordynując wszelką pracę naukową i wydawniczą na terenie całego Przyszmarza.

Z projektem reorganizacji życia naukowego na Wybrzeżu wystąpił w obszernie umotywowanym referacie na zebraniu czerwcowym Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki wicedyrektor Biblioteki Gdańskiej dr. Marian des Loges. Projekt prelegenta przewidywał oparcie nowego towarzystwa na istniejącym dotychczas Gdańskim Towarzystwie Przyjaciół Nauki i Sztuki. Instytucja ta stanowiłaby żrąb przyszłej organizacji naukowej, którą rozszerzyć należałoby kosztem stojących dotychczas poza towarzystwem instytucji względnie gdańskich oddziałów ogólnopolskich towarzystw naukowych. Projekt dr. des Loges wywołał obszerną dyskusję, nie spotkał się jednak z uznaniem wszystkich członków GTPNS. Podkreślano poważne zasługi dotychczasowego Towarzystwa osiągnięte przy współdziałaniu ludzi, którzy ze względu na brak wyższych kwalifikacji naukowych nie mogliby być członkami nowego towarzystwa naukowego zamkniętego, oraz zaszczytne tradycje dotychczasowego

GTPNS-u o dużym znaczeniu lokalnym.

Aczkolwiek projekt reorganizacji GTPNS-u i stworzenia w jego miejsce towarzystwa naukowego zamkniętego nie spotkał się przed kilkunastoma miesiącami z pełnym uznaniem członków dotychczasowego Towarzystwa, niemniej sprawa reformowania życia naukowego Wybrzeża natrafia na coraz większe zrozumienie jako sprawa niecierpiąca zwłoki.

Na drugim z kolei zebraniu dyskusyjnym zwołanym przez Zarząd Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki, w którym wzięli udział przedstawiciele wszystkich instytucji i środowisk naukowych Wybrzeża, projekt dr. des Loges został przyjęty jak najżywczej. Obecni na sali przedstawiciele placówek naukowych wyrazili w imieniu reprezentowanych przez nich instytucji pełne zrozumienie i akces do przyszłego zamkniętego towarzystwa naukowego. Zebrani jednomyślnie uchwalili wniosek upoważniający Zarząd Gdańskiego Towarzystwa Przyjaciół Nauki i Sztuki w Gdańsku do przedstawienia na walnym zebraniu Towarzystwa opracowanego i odpowiednio umotywowanego projektu reorganizacji. Bez nieuzasadnionej optymistycznej założyci, że walne zebranie, które odbędzie się w grudniu br. w zrozumieniu konieczności reformowania przestarzałych form pracy naukowej na Wybrzeżu, ustosunkuje się przychylnie do projektu.

W ten sposób sprawa nadania życiu naukowemu Wybrzeża właściwych form organizacyjnych wkrocza wreszcie na właściwe tory. Oczywiście, że poważny głos w tej sprawie przysługuje zarówno czynnikiem rządowym jak i Polskiej Akademii Umiejętności i innym towarzystwom naukowym zamkniętym Polski. Nie wlemy jeszcze, jak instytucje te ustosunkują się do projektu? Świata nauki na Wybrzeżu. Gdy jednak chodzi o dobro nauki polskiej i o rozwój polskiego dorobku naukowego w tak ważnej dziedzinie pracy, jaką stanowi dla całego kraju Wybrzeże i Przyszmarze, nie ulega wątpliwości, że znalezione zostaną właściwe formy organizacyjne i że zostaną poczynione wszystkie kroki, by działalność naukową na Wybrzeżu jak najbardziej ułatwić.

NOTATNIK Z WYBRZEŻA

KONCERT SYMFONICZNY Z UDZIAŁEM I. DUBISKIEJ

Orkiestra Robotniczego Towarzystwa Muzycznego robiła na ostatnim koncercie w sali W. R. N. wrażenie ucznia, grającego na popisie — ucznia zdolnego, pracowitego i pełnego najlepszych chęci. To, że popis ten wypadł nadszpedzanie dobrze, jest bezspornie zasługą dyrygenta, p. Lasoty. Orkiestra gra poprawnie, brzmienie ma czyste, wszystkie szczegóły są dobrze wypracowane — nawet „dźwięki” ta pięta achillesowa wielu dobrych składów zespołów, nie robi przykrych niespodzianek; p. Lasota okazał się — a to jest u nas w tej chwili najważniejsze — bardzo dobrym pedagogiem. Jest on dobrym pedagogiem również i w stosunku do publiczności, czego dowodem jest program koncertu. Jest to program, jak na młodą orkiestrę, bardzo ambitny — może chwilaż aż ryzykowny. Trzeba jednak powiedzieć, że ryzyko, polegające na granicy Mozarta, Beethovena i Schuberta, to ryzyko bardzo szlachetne, ryzyko, które się opłaca, które wychowuje publiczność. Stokroć lepiej jest, jeśli się orkiestra raz synpie na Koncercie Skrzypcowym Beethovena, niż jeśli ją miała bezbłędnie i efektywnie zagrać czardasza z „Ducha Wojewody” — zwłaszcza że na sali byli obecni przewodnicy jednego ze szczytniejszych zakładów pracy.

Czas jednak powiedzieć parę słów o naszym miłym gościu, p. Ireneu Dubiskiej. Przede wszystkim należy jej podziękować za zaprezentowanie nam Koncertu Beethovena, jednego z najspanialszych dzieł literatury skrzypcowej świata. W wyborze repertuaru wykazała Dubiska więcej serca dla szczytności, niż p. Bandrowska-Turka, dając nawet na b's utworu Brahmsa, Smetany, De Falli. — Gra Ireneu Dubiskiej należy do typu tzw. gry „intelektualnej”, którą cechuje gozrym chłód wykonania i gdzie góruje troska o wydobycie z utworu jego walorów konstrukcyjnych i logicznych. Nie wydaje się oczywiście, że wartości uczuciowe dzieła są w tym wypadku skazane na zagładę; przeciwnie, wartości te zostają niejako sublimowane, wartości te zostają w czystszej postaci. Należy dodać, że na grę taką może sobie pozwolić jedynie artystka o nieskazitelnej technice i dużej inteligencji muzycznej.

F. Dubiska powiedziała w prywatnej rozmowie, że nasza orkiestra jest lepsza od orkiestry lubelskiej — t. j. orkiestry, mającej już za sobą szereg lat pracy. Ten komplement obowiązuje. Obowiązuje także nazwa Robotniczego Towarzystwa

Muzycznego, nazwa, która wskazuje, kto ma być u nas odbiorcą muzyki. To podwójne zobowiązanie nasuwa pewne wnioski: po pierwsze, nie wolno pod żadnym pozorem rezygnować z dotychczasowych ambicji repertuarowych — nieopatrnie dany koncert, któryby miał w programie walec Lehara i Kolmanna, a więc muzykę komponowaną dla zaspokojenia gustów małowymagających, może z miejsca zepsuć całą dotychczasową robotę. Po drugie zaś wydaje mi się, że koncert ostatni (uwertura Mozarta z „Wesela Figara”, koncert skrzypcowy Beethovena, Symfonia h moll Schuberta i uwertura „W Tatrach” żeleńskiego) powinien być powtórzony na zakładach pracy. Partię solową koncertu skrzypcowego może z powodzeniem wykonać któryś z miejscowych skrzypków.

Na zakończenie parę słów o sytuacji materialnej orkiestry. Nie jest ona dotychczas zadawalająca. Muzycy nie otrzymali należnego im wynagrodzenia. Ze taka sytuacja stanowi poważne niebezpieczeństwo, nie trzeba chyba podkreślać. Ale tak jak się na teatrze pieniądze znalazły, muszą się również znaleźć pieniądze na muzykę. C. K. Z. Z. dysponuje dużymi sumami na te cele, Ministerstwo Kultury i Sztuki może bez wielkiego uszczerbku podwyższyć subwencję. A gra warta świeczki, gdyż tak jak sprawy stoją, orkiestra szczytności ma szansę zostania jedną z lepszych orkiestr prowincjonalnych w Polsce.

W. WIRPSZA

KONCERTY FILHARMONII BAŁTYCKIEJ

Jedną z najbardziej pracowitych placówek kulturalnych Wybrzeża jest bez wątpienia Filharmonia Bałtycka. Ten zespół muzyków rozpoczynających trzy lata temu pracę w ciężkich warunkach i bez odpowiedniej sali, z roku na rok podciąga swój poziom. Wbrew przewidywaniom sceptyków, twierdzących, że symfoniczny zespół na Wybrzeżu nie utrzyma się, Filharmonia Bałtycka nie tylko, że się nie rozciąlała, ale powiększyła swój skład do 80-ciu osób. O poziomie orkiestry najlepiej świadczy opinie dyrygentów i solistów tej miary, co Berdjaew, Umińska, Ekier i wielu innych. Wielką zasługę położyła tu dyrektorka FB i stała dyrygent B. Wodiczko, który nieustraszenie pracuje wraz z orkiestrą, przychylnie się do osiągnięć jej dzisiejszego poziomu.

Największym kłopotem FB był brak odpowiedniej sali. Obecnie brak ten został usunięty. Ogromna widownia Teatru Wielkiego w Gdańsku, obliczona na ponad tysiąc miejsc, pozwala licznym melomanom Wybrzeża na swobodne słuchanie koncertów. W związku z otrzymaniem do swej dyspozycji tej pięknej sali, dyrektorka FB płatowała koncerty symfoniczne przeniosła do Gdańska.

Sezon 48—49 rozpoczęła Filharmonia Bałtycka 15 X br. uroczystym koncertem symfonicznym. Na program złożyły się ucwory Spisaska, Szymanowskiego i Martini. Pierwszym numerem programu była „Suieta na orkiestrę smyczkową” Spisaska, młodego kompozytora polskiego. Następnym utworem był „pierwszy koncert skrzypcowy” Szymanowskiego. Eugenia Umińska zagrała go znakomicie. Zakochyła koncert symfonią młodego, rokującego, wielkie nadzieje, kompozytora czeskiego Bohusława Martina. Orkiestra w utworze tym, pod batutą B. Wodiczko wykazała swą dużą klasę.

22 X, odbył się pierwszy popularny koncert symfoniczny. Był to właściwie koncert chopinowski. Wykonanie na początku uwertury Elsnera, miało chyba na celu podkreślenie przepaści, jaka oddziela ucznia od nauczyciela. W dalszym ciągu koncertu jako wykonawcy wystąpił laureat ogólnopolskiego konkursu chopinowskiego — Regina Smendzińska i Zbigniew Szymonowicz w dwóch koncertach Chopina — F-moll i E-moll.

Para pianistów zapowiadających się jaknajlepiej zademonstrowała kraciawo różną grę. Grę Smendzińskiej charakteryzują miłkie uderzenie, poetyczne i wybitnie romantyczne ujęcie utworu. W grze Szymonowicza natomiast nie ma nic poezji i romantyzmu. Cechuje go brawura, dzięki której podkreśla on raczej wirtuozowskie momenty utworu. Jako dyrygent wystąpił dyrektor FB Stefan Sledziński.

W ostatni piątek października odbył się drugi koncert symfoniczny w ramach Miesiąca Przyjaźni Polsko-Radzieckiej. Na program złożyły się utwory kompozytorów rosyjskich. Jako solista wystąpił Józef Smidowicz w koncercie fortepianowym Rachmaninowa. Słuchacze Wybrzeża znają dobrze Smidowicza z jego występów na tujejszym terenie. Ten doskonały, pełen umiaru pianista zachwycał wszystkich obecnych swą interpretacją słynnego koncertu.

W drugiej części, transmitowanej przez radio na wszystkie rozgłośnie, orkiestra pod dyktando B. Wodiczko wykonała pierwszy raz w Polsce „drugą symfonię” Chaczaturiana. To ogromne i trudne dzieło orkiestra odegrała bez zarzutu, wstawiając najchłubniejsze świadectwo dyrygentowi i jego pracy.

J. R. C.

GDĄSKI ODDZIAŁ ZWIĄZKU LITERATÓW

W dniu 17 października odbyło się w Domu Literatów w Sopocie walne zebranie Oddziału Gdańskiego Związku Zaw. Literatów Polstich. Po zagajeniu przez ustępującego prezesa zarządu dr. Mieczysława Jarosławskiego, który podziękował wszystkim członkom zarządu za harmonijny i zgodny współpracę, wybrano przewodniczącym zebrania Gustawa Olechowskiego.

Sprawozdanie z działalności ustępującego zarządu złożył Włodzimierz Wnuk, który podkreślił najważniejsze osiągnięcia Oddziału w okresie sprawozdawczym: uzyskanie subwencji Woj. Rady Sztuki i Kultury Art., w wysokości 50.000 zł. miesięcznie, dzięki czemu oddział mógł przystąpić do szeroko zakrojonej akcji odczytowej na całym obszarze woj. gdańskiego, dalej zorganizowanie w sezonie letnim w Sopocie 10 wieczorów autorskich wybitnych literatów polskich, kontynuowanie „Wieczorów Dobrej Książki” w Sopocie, Gdyni i Gdańsku. Sprawozdawca podkreślił również jako fakt pozytywny nawiązanie bliskiej współpracy między gdańskim środowiskiem literackim a „Tygodnikiem Wybrzeża”, który ma obecnie swój oddział redakcyjny w Sopocie i który zamieszcza prace literatów Wybrzeża Centralnego w co raz szerszej mierze. Po złożeniu sprawozdania finansowego i Komisji Rewizyjnej zebrani udzielił ustępującemu zarządowi absolutoryjnego wyroku władz Oddziału. Prezesem zarządu został wybrany ponownie dr. Mieruim jednogłośnie. Z kolei przystąpiono do czynszaw Jarosławski, do zarządu weszli ponadto: Eugenia Kobylńska i Kazimierz Barnas. Walne zebranie delegowało do zarządu dla pełnienia określonych funkcji: Edwarda Fiszera, Edmunda Miostka, dr. Ireneu Przewlocka, Włodzimierza Wnuka. W skład Sądu Koleżeńskiego weszli: Edwin Jedrzejewicz, Radosław Krajewski, Mieczysław Żydr, jako zastępca Janusz Słepkowski w skład Komisji Rewizyjnej: Gustaw Olechowski, Franciszek Penikowski, Stanisław Fleszarowa. Jako delegata na Walny Zjazd Delegatów ZZZL do Szczecina wybrano dr. Jarosławskiego. Wybrano również komisję artystyczną, która ma w sunąć w imieniu Oddziału kandydata na tegorocznej nagrody literackiej Gdańskiej Wojewódzkiej Rady Sztuki i Kultury Artystycznej. Członkiem Oddziału Gdańskiego, ZZZL zamieszkałym w Szczecinie, reprezentował na zebraniu Walerian Lachnitt. (ex)



TYGODNIK
WYBRZEŻA

Nr 47 (121). 5.XII.48.

W wspomnieniu o MCHAT-cie i Stanisławskim, publikowanym niedawno w prasie literackiej, opowiada Arnold Szyfman taką historię o „Wiśniowym sadzie”. Mieszając w czasie Wielkiej Wojny w Moskwie, wyraził pewnego razu wobec swej gospodyni zdziwienie, że dopiero w oym czasie wybierała się na głośną sztukę Czechowa. Ku swemu zdumieniu dowiedział się wtedy, że za cena kupcowa ogłądała już siódme bodaj z kolei przedstawienie „Wiśniowego sadu”. I że wcale nie była odosobniona w Moskwie pod tym względem...

Podobnie jak „Wesele” dla nas, mógł bowiem „Wiśniowy sad” uchodzić dla Rosjan za sztukę niejako narodową. Najpierw, ponieważ stanowił idealny przykład teatru naturalistycznego, a ten styl sceniczny był, zwłaszcza od czasu premier Czechowa w Moskiewskim Teatrze Artystycznym, najbardziej reprezentacyjny dla Rosji. Powtóre, bo w „Wiśniowym sadzie” mieści się spory szmat rosyjskich dzieł.

„Przodkowie wasi — mówi socjalizujący student Trofimow do ziemian-banukrów — wprowadzili tutaj bezczyste, posłałali tutaj żywe dusze ludzkie”. Trofimow rozszerza jeszcze swoje oskarżenie, poza sam fakt feudalnego ucisku. Atakuje całe bezdziejowe, biernie życie i psychikę rosyjską: „Spóźniliśmy się co najmniej o dwieście lat, nie mamy jeszcze nic... narzekamy na tęskne życie albo pljemy wodkę”. I mijając pośredni etap, pozytywizmu mieszczańskiego, uosobionego u Czechowa w kupcu (ujmującym wszystkim, a więc i sprawę samego tytułowego „wiśniowego sadu” w kategorii pieniężnych), Trofimow wyraża przez siebie nowego żądca, przyszłego pełnego wyzwolenia, nieodłącznego jednak od rewolucji i dziejowej kwarantanny: „Ażby rozpocząć nowe życie, trzeba odpokutować za naszą przeszłość, załatwić się z nią radykalnie, a odpokutować można tylko cierpieniem, tylko bohateriskim, nieprzerwanym trudem”.

Te słowa, potwierdzone tymczasem przez historię, brzmią i dziś pełnią prawdy. Nietrudno wyobrazić sobie, jak bardzo jako prorocze odczuwać je musiła publiczność rosyjska, z jaką dumą słucha ich zapewne dzisiejsza widownia radziecka, ludzi owej przepowiedzianej bohateriskiej rewolucji.

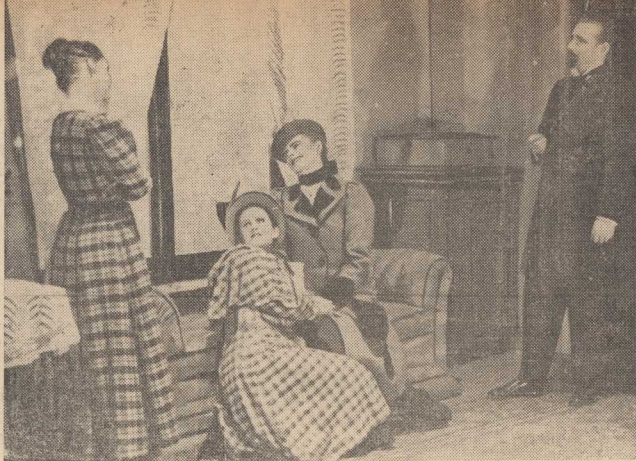
Z punktu widzenia ściśle scenicznego, jest „Wiśniowy sad” właściwie zaprzeczeniem naszego pojęcia teatru. Dramat wyraża się akcją, na scenie musi się coś dziać — dla nas jest to bezsporne. Pod tym względem odczuć nasze kłóci się w uderzający sposób z odczuciem Rosjan. Dla nich atmosfera, nastrój, zaduma wydają się w teatrze rzecz wystarczającą i główną. Jeszcze być może u Skandynawów lub Anglosaisów spotykać się można z podobnym ujęciem spraw teatru. Dlatego zapewne, jak utrzymuje J. B. Priestley, „Czechow wywiera na poważny teatr angielski większy wpływ, aniżeli jakikolwiek drugi dramaturg współczesny”. „W plejadzie wielkich europejskich dramatur-

gów — wyznaje również Bernard Shaw — świeci Czechow jak gwiazda pierwszej wielkości”. Rzadko który pisarz romański czy polski (Polacy — „Francuzi Północy”!)... potwierdziłby zapewne sąd Shawa. Nie potwierdziła go również powojenna publiczność nadmorska, która niemal zupełnie zignorowała gdyńskie przedstawienie „Wiśniowego sadu”.

Nie ujmuje to, oczywiście, w niczym wartości wysiłku inscenizacyjnego Teatru „Wybrzeże”. Zapewne, na terenie warszawskim czy łódzkim, ta pozycja repertuarowa zostałaby może lepiej doceniona przez znawców i miłośników. Nie mniej i tu stał się „Wiśniowy sad” przypomnieniem z historii teatru wielce pouczającym. Wystawił go Iwo Galla, będący w pewnym stopniu kontynuatorem linii Osterwy i „Reduty”, teatru, który powstał w kręgu oddziaływania Teatru Artystycznego. Ponadto, choć Galla reprezentuje dziś raczej dalszy już etap po naturalizm Stanisławskiego, t. zn. teatr umownej formy, mimo to przetrwał on w swej pracy reżysera i inscenizatora zdobywcę MCHAT-u przejął z jego systemu pracy takie najistotniejsze momenty jak: dogłębna analiza literacka dzieła i epoki, dokładna obserwacja natury i wzywianie się w rolę aż do najosobistszego zespolenia się z nią aktora wreszcie — zespolone ujęcie całości. „Wiśniowy sad”, jak żadna inna sztuka, nadaje się do zademonstrowania tego typu pracy teatralnej. Ale zarazem wątpliwe można, czy którykolwiek z polskich teatrów jest dziś w stanie w pełni tej sztuce pedałować. Kto wie, czy tajemnica najwłaściwszej ekspresji nie jest tu zachowana dla rosyjskiego teatru i rosyjskich aktorów.

W „Wiśniowym sadzie” fabuła jest niewymyślna, konfliktu dramatycznego nie ma wcale. W czym winna zatem leżeć istota przedstawienia? Niewątpliwie w samych postaciach sztuki, do głębi przeżytych przez aktorów, w ich grze, żywej, plastycznej, w języku ich rozmów, w klimacie nieśpiesznej, przyjemnej węgotacji i wspomnień, wreszcie, w samej poezji rzeczy, otulającej to starożyjskie bytowanie, które historia przecina. Ze sceny, zarówno od postaci, jak i otaczających je przedmiotów, isć musi na widownię jakiś fluid, dostatecznie silny, aby zastąpić mógł napięcie, nie stworzone przez akcję dramatyczną. Jakżeż to wypadło w Gdyni?

Postacie „Wiśniowego sadu” zostały wypracowane z wielką starannością. Jedynie Krafftówna wyraźnie nie czuła się sobą w roli Basi, kupiec zaś L. Zarzyckiego był zbyt młody, nie mógł też podobać końcowym scenom dramatycznym. Już Bogurska jako Raniewska wypadła świetnie w sylwecie, w balowym kostiumie w III akcie oddawała niezównanie typ opanowanej przez „wellschmerz” damy z fin-de-siècle'u. Może za mało wydawała się „grzesznica”, w ogóle za mało czuła się tu w powietrzu atmosferę erotycznego skandalu. Można było się obawiać, czy przeciętny widz rozumiał to należyście, że Łopachin godził się na swój sposób ratować sad z mi-



Scena z I-go aktu.

Fot. Z. Kosycarz

łości do dziedziczki, ale że w tym go bez łości — z zemsty za swe wzgardzone, nawet niedostrzeżone uczucie.

Stryj Leonid, schyłkowa figura nie to inteligenta niż żmianina, był w interpretacji Laszewskiego ciekawym pomieszanem gadaliwie, trochę obudnej zacności z tkami atawizmu i kabotyństwa. Krasicka stworzyła nową interesującą sylwetkę guwernantki, a Pawlik — postać zimnego, samotnego, chorującego na zagranicie kamerdynera — widz rozumiał, że taką służbę musiowało wyhodować to przerafinowane ziemianiskie towarzysztwo.

Postacią o maksymalnej sile aktorskiego przeżycia, prawdziwie w duchu Czechowa był jednak dopiero stary kamerdyner Firs w ujęciu Romana Stankiewicza. Wnosił on na scenę ową niezbędną tutaj atmosferę liryzmu, a końcowa scena śniłerci wstrząsała swą ekspresją, elektryzowała tak oziębia tym razem widownię. Dla samej tej sceny warto było oglądać gdyńskie przedstawienie. Również Jerzy Cwikliński jako kancelista Epichodow miał w swym komizmie, w grymasach tragicznie blażenskich coś nieodgadnionego i bardzo rosyjskiego.

Oprawa plastyczna i dźwiękowa, stanowiące niezwykle istotnie składniki przedstawienia, były przemyślane starannie, ale bodajże jeszcze nie na pełną miarę tego dramatu Czechowa. Dekoracja II aktu, z kapliczką i brzozą, z grubą postacią na laweczce parkowej, z nużącym-melancholijnym nuceciem pod wór mandoliny — była pełna uroku, osiągniętego w sposób najprostszy. Również był na drugim planie dekoracji w akcie III osiągal — niezależnie od wartości plastycznych — wymowne symbole: Zestawienie z naszym „Weselem” stawało się tym bardziej uderzające.

Za mało było jednak w dekoracji Iwo Galla — samego „wiśniowego sadu”. W Teatrze Moskiewskim rozciągał się on podobno w głębi wzdłuż całej sceny. Wnętrze znowu „muzyka samowaru” dopełniałabym niewątpliwie atmosferę rosyjskiego dworu z tamtych lat. Ten na-

strój potęgował miał w intencjach reżysera jakiś nałot rosyjski w wymowie scenicznych postaci. Ową „rosyjskość” każy z aktorów próbował w Gdyni wydobywać na inny sposób. Nawet jednak jeśli przyzna się w tym przedstawieniu wyjątkową wagę modulacji głosu i wymowie, wynik osiągnięty na tym odcinku w Gdyni, wydaje się artystycznie słaby.

Muzyka Eugeniusza Dzewulskiego nie była utrzymana w charakterze całego widowiska.

Inscenizacja gdyńska wykazuje, jak trudno wystawić „Wiśniowy sad”, zwłaszcza dziś, i zwłaszcza w Polsce. Przy ambitnej próbie, jakiej podjął się ze swym zespołem Iwo Galla, nawet niezupełny sukces — jest poważnym artystycznym osiągnięciem. Lecz przedstawienie ocenić należy w skali szerszej. „Wiśniowy sad” to przecież udratmizowana prawda rosyjskich dzieł. Wjeżdżając od sztuki tej ich smutek, ale zarazem przebiega nadzieja. W 50-lecie Moskiewskiego Teatru Artystycznego nie można było przesać od teatru polskiego piękniejszego pozdrowienia.

EDMUND MISIOLEK.

NAGRODA LITERACKA m. GDYNI

Uchwałą Kolegium Zarządu Miejskiego m. Gdyni z dn. 27 września br., została ustanowiona nagroda literacka miasta Gdyni za twórcę literacki tematycznie związany z morzem lub wybrzeżem polskim, w wysokości 50.000 zł. Całością spraw techniczno-organizacyjnych związanych z przyznaniem tej nagrody, zajmie się Oddział Związku Zaw. Literatów Polskich. Uchwałą Zarządu Miejskiego w Gdyni należy powitać z radością — ma ona istotne znaczenie dla życia kulturalnego Wybrzeża Centralnego.

(ex)

Dyskusje Literackie:

OD LIRY DO KATARYNKI

Na dworze króla Feaków — Alkinoja, żył ślepy śpiewak Demodokos. Uciszał się gwar biesiadników, kiedy Demodokos zaczynał opowiadać o przygodach bohaterów i miłośkach bogów. A opowiadał przy dźwiękach formingi, gdyż poezja grecka nieodłącznie związana była z muzyką. Poezi wwieczeni na antycznych wazach zawsze trzymają w ręku jakiś instrument i jest to tak naturalne, jak sierp w ręku wieśniaka.

Dopiero później lira staje się tylko symbolem. Poezja i muzyka oddalają się od siebie, każda, z nich wypracowuje swój odrębny styl i technikę. Po wielu wiekach spotykają się w romantyzmie. Co prawda, jest to spotkanie teoretyczne. Poezi tego okresu marzą o doskonałości rzeczy pozaziemskich, czystych, idealnych. Wielu poetów uważa muzykę za najdoskonalszą, najczystsza ze sztuk. Nawet najrzetwiejszy z naszych romantyków Mickiewicz pisze w liście do B. Zaleskiego: „Ma się rozumieć jak będę miał pieniądze i literaturę i książki porzucę, na wsi osiadę i będę muzyki komponować. Zamiar dawny — dodaje rozbrajające — tylko nikt w mój talent muzyczny nie wierzy”. Jak to dobrze, że Opatrzność doświadcza poetów trudnościami finansowymi.

Poezji na razie to porównanie nie całkiem zawróciło w głowie. Był to załedwie załazek przyszłych konsekwentnych teorii, które miały podważyć wiele poetyckich kanonów.

Z końcem XIX w. pojawiła się plejada poetów, którzy ustalili regułę „muzyczności wierszy”. Była to już ostatnia reguła znuzonych dekantów, tym wygodniejsza, że zwalniała od obowiązku jakiegokolwiek treści czy ideologii. Korzystają z tego mierni wierszopisarze, którzy nie nie mieli do powiedzenia, bo nieczego nie przeżywali

i czarują załotną „muzycznością” giadkich wierszyków. Pisze się potoczyste ballady, kunsztowne rondo o subtelnych zaśpiewie. Oczywiście sens takich utworów jest nikły. Ale pozostaje jeszcze nastrój. Nieprzetłumaczalny, niejasny nastrój, a więc jak najniej szadono — poezja, esencja poezji.

Poezi znają to uczucie kiedy trafia się na swój ton, na swój rytm i zaczyna się improwizacja. Tak można bez większego wysiłku tworzyć całe poematy, słowa leją się jak z cebra, łatwo a więc nieodpowiedzialnie. Jakies obrazy mgliste, łańcuszek porównań, dzwoneczki współbrzmień. Tak jak w tym wierszu A. Nowickiego (Ślady Cherubina):

Na ślad cherubina
Oczy otwórz.
Oto się zaczyna
Nasza podróż.
Podróż jak roznowa,
Jak zabawa
Po cherubnowych
Nikłych śladach.

Okręt na przystani,
Czy też oblok?
My niespodziewanie
Tutaj obok.
Kapitan okrętu
Patrzy w spółkę.
Kapitan okrętu
Czy obłoku?
Kapitan powoli
Pali fajkę...
Powiedz: bajkę wolisz
Czy nie bajkę?
Twoje oczy oto
Zmierzem mokre.
Wsiadamy na oblok,
Czy na okręt?

Można by na końcu tych fragmentów napisać „i tak dalej”. Ten wiersz bowiem

nigdzie się nie zaczyna i nigdy się nie kończy. Jest łatwą eksploatacją cherubińskiego nastroju, zwicznych szeslestów, ulotnych kształtów. Można tak pisać zawsze i na każdą okazję. Taki wiersz jest jak tapeta, która w każdym miejscu można uciąć, bowiem nie rozwija żadnej treści, opiera się na powtórzeniach. Zauważny jak poeta beznadziejnie drepcie koło porównania — oblok jak okręt. I zauważmy dalej jak przenośnie i obrazy nie są uzasadnione żadną logiką narastania, kompozycji, tylko znów koniecznością, łatwych zresztą współbrzmień. A dalej, jak te obrazy są bezcelne i dwuznaczne.

Nie jest to zresztą utworów pobawiony uroku. Można go polubić, ale nie sposób go podziwiać właśnie z powodu tej autmatycznej śpiewności. Co pozostaje po takim wierszu? Nieuchwytny szeslest, szarozie wyobrażeń, niedosyt treści i przeżyte.

W poezji jak w każdej sztuce, obowiązują zasada kompozycji i rygoru. Inaczej mówiąc świadome i odpowiedzialne organizowanie piękna. Bo rygor jest sztuką skreślenia. Sztuką zastępowania paru słów jednym słowem, gdyż w tym właśnie po-

lega poetyckie bogactwo. A jak tu skreślać, jak tu realizować własny zamysł, jak tu osaczyć wzruszenie, jeśli nieopanowana śpiewność narzuca inne treści, inne skojarzenie, tak uroczę, że trudno z nich zrezygnować.

Julian Tuwim napisał przed wojną kilka utworów, które zatyłował — „Śpiewnie”. Były to wiersze układane ze złepków słów, z samych dźwięków mowy i dla tych dźwięków tak na przykład, „słowik słowi słowusiekie ciewy”. Zabawny był zachwyt, z jakim przyjęli te wiersze niektórzy pięknoduszacy krytycy. Teraz z perspektywy czasu wygląda to jak satyra na rozpiewionich poetów. Satyra być może nie zamierzona.

Amatorom śpiewności, których nie zdołaliśmy przekonać, miłośnikom poezji usypiającej, dedykujemy tę oto przeróbkę z mistrza Idefonsa —

Chcieliście wiersze — no to je macie,
Skumbrie w tomacie, skumbrie w tomacie,
Chcieliście wiersze — no to je macie,
Skumbrie w tomacie, psstrag.

ZBIGNIEW HERBERT

TYGODNIK WYBRZEŻA

REDAGUJE KOMITET — Szczecin, Al. Wojska Polskiego 41, tel. 21-90. Redaktor naczelny przyjmuje od godz. 10-12. Oddział GDANSK — GDYNIA: Komitet Redakcyjny w SOPOCIE, ul. Sikorskiego 2, tel. 523-77. Administracja ul. Portowa 8, tel. 16-65. Nadesłanych rękopisów nie zwraca się. PRENUMERATA miesięczna 80 zł, kwart. 225 zł, półr. 440 zł, roczna 880 zł. Cennik ogłoszeń: 1 mm lamu szer. 63 mm w dziale ogłoszeń — 30 zł, w tekście — 100 zł, przetargi 1 mm lamu 63 mm 100 zł. Strona — 75.000, 1/2 str. 40.000 zł, 1/4 str. 25.000 zł.

KONTA: BCS: 656, PKO: X-892.

WYDAWCA: Spółdzielnia Wydawnicza „POLSKIE PISMO I KSIĄZKA” w Szczecinie Al. Wojska Polskiego 39 — Telefon 25-66 Skład maszynowy w drukarni Nr. 10, Sp. „Czytelnik” w Szczecinie. Układ graficzny i druk w drukarni P. P. K. w Szczecinie, 097243